

# DZIS: JUŻ

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III

Warszawa, 22 czerwca 1947 r.

Nr 25 (82)

**TREŚĆ NUMERU:** O. Forst-Bataglia — Wychowanie a niepodległość Austrii, J. Dobraczyński — „Paisa”, m — Zagadnienia i poglądy, W. Pietrzak — Refleksje nad twórczością Nałkowskiej, M. Wasilewski — Partyzantka straceńców, Tydzień kulturalny, St. Padlewski — Przemarsz przez piekło, Wilk — Kardynał XX wieku, W. Majdański — Szeroki horyzont po mojemu, Z zagadnień gospodarczych, Czytelnik uważa, że...

Stefan Kieniewicz

# NOWY SĄD NAD HISTORIĄ

„Dzieje głupoty historyków polskich” — bo taki właśnie tytuł pasowałby do omawianej książki\*) — nie są, ściśle rzecz biorąc, dziełem którym historyk powinien się zajmować. Przeciwnie specjalista, przerzucając pobieżnie ten tom, zauważy w nim aż zbyt łatwo liczne pomyłki w datach, nazwiskach i wydarzeniach, nieznamość literatury i upraszczanie zagadnień. Skrzywiwszy się, wyrzeczy: „nie poważne” i odrzuci książkę na stronę. A jednak zdaje mi się, że trzeba nią się zająć dla jednej głównie przyczyny: ze względu na intencję autora. Tą intencją jest walka o realizm w polityce polskiej.

Też książki w największym skrócie można by ująć, jak następuje: — Nieszczęścia Polski od dwustu lat nie są następstwem ani złości sąsiadów, ani naszej wyjątkowej nocy, ani także słabości wojskowej, ustrojowej, czy gospodarczo - społecznej. Są one wynikiem naszej „głupoty”, inaczej mówiąc błędnej naszej polityki zagranicznej. Zamiast krwawić się w walkach o niepodległość trzeba nam było trzymać się Rosji i w połowicznej podległości konserwować siły. Do utrwalenia tej „głupoty” w naszej tradycji politycznej przyczynili się w pierwszej linii historycy polscy, którzy zniekształcali obraz naszej przeszłości, gloryfikując powstania, a potępiając politykę ugodową. Na skutek błędnej tradycji historycznej każde nowe pokolenie wpadało w te same błędy. Odrzućmy więc na stronę ten balast patriotycznych frazesów, zrewidujmy nasz pogląd na przeszłość, a wówczas nauczymy się może rozumować i politykować realnie.

Na wniosek końcowy zgoda. Realizm jest nam dziś niezaprzeczenie potrzebny. Ale z poprzednimi przesłankami trudno się zgodzić. Autor rzuca oskarżenie pod niewłaściwym adresem, a tezę swoją buduje na błędnej podstawie.

Bo naprzód: czy to historycy kierowali polityką narodu? Francuz by tu zacytował: „ils n'ont merité ni cet excès d'honneur ni cette indignité”. Każdy historyk naświetla ustalone przez siebie fakty w zależności od swoich poglądów na ogólny rozwój narodu. Ale on sam jest dzieckiem epoki, w której żyje; rozumuje podobnie, jak jego współczesni ziomkowie, podlega tym samym prądom, wpływom i złudzeniom.

\*) Aleksander Bocheński — „Dzieje głupoty w Polsce” — Warszawa, 1947 r.

Historiografia, przynajmniej ta, która znajduje oddźwięk w narodzie, nie kształtuje polityki, ale jest jej odbiciem. Vita est magistra historiae. Tezy Lelewela np. odzwierciedlają wiernie ducha irredenty naszej emigracyjnej lewicy. Szkoła krakowska konstruowała historię Polski według wymagań galicyjskich ugodowców. Twórczość Askenazego odpowiada tendencjom polskich postępów niepodległościowych przed rokiem 1914, gdy twórczość Smolki wiąże się z programem ówczesnego Stronnictwa Polityki Realnej. Odczyt Górki z 1935 r. to tylko przejaw naszej „mocarstwowości” ówczesnej. Tak samo dzisiejszy realizm p. Bocheńskiego jest wynikiem doświadczeń okresu wojennego. Stąd wniosek: ta linia wartości w naszej polityce, a historyków - realistów napewno nam nie zabraknie.

Jakich to historyków stawia autor pod pręgierz za wodzenie narodu na manowce? Lista jest długa, ale niebardzo groźna. Atakowani pisarze: Chołoniewski, Górski, Studnicki, Giertych, Mosdorf, Stachniuk — to przecież nie uczeni, ale publicyści; żaden historyk twierdzić ich bronić nie będzie. Balzer i Sobieski, wielcy uczeni, nie byli znowu specjalistami od 18 do 19 wieku i sąd ich o epoce rozbiorów dla nauki jest mniej mianodajnym. Z historyków specjalistów autor uznaje autory-

tet: Kalinki, Bobrzyńskiego i Skalkowskiego, godzi się na ogół z tezami Górki, Dembińskiego i Smolki, atakuje z dawniejszych pisarzy: Lelewela i Hofmana; z nowszych Smoleńskiego, Konopczyńskiego, Feldmana, Tokarza i Handelsmana. Ale o jakie to dzieła idzie? W przeważnej części o publikacje drobne, popularne lub okolicznościowe, nie zaś o rzeczy trwalszego w historiografii znaczenia. Tak np., gdy idzie o Smoleńskiego, nie zaczepia autor żadnej z jego trzech monografii o czasach stanisławowskich, ale popularny podręcznik „Dziejów narodu”. Przy Feldmanie pomija „Genezę konfederacji Tarnogrodzkiej”, studium o Leszczyńskim, monografię „Vergennes a Polska”, — a wydobywa jeden młodzieńczy artykuł. Przeglądu Powszechnego. Tokarz napisał trzy świetne monografie o czasach Insurekcji, ale p. Bocheński wojuje tylko z jego przygodnym odczytem o przyczynie drugiego rozbioru. Nawet gdy idzie o życiorys Adama Czartoryskiego, napisany przez Handelsmana, autor posługuje się wersją skróconą ze Słownika Biograficznego, gdy w Przeglądzie Współczesnym drukowano wersję obszerniejszą. Łatwo jest może łapać za słowo uczonego przy takich dorywczych robótkach, ale w ten sposób autor uchyla się od odpowiedzi na argumenty nagroma-

dzone w pracach specjalnych, których nie chciał wziąć pod uwagę.

Dwa tylko dzieła większej objętości bierze pod skalpel krytyczny: Askenazego „Przymierze polsko-pruskie”, oraz Konopczyńskiego podręcznik dziejów nowożytnych polskich. Askenazemu nikt nie odmówi talentu pisarskiego, tendencji patriotycznej, ani także zasługi około organizowania badań nowszej polskiej historii. Za wzór metody naukowej godny naśladowania nigdy nie uchodził; kruszyć o niego kopii nie będzie. Co się tyczy Konopczyńskiego, potrafi on, jeśli zechce, obronić się dużo skuteczniej, niż bym to sam umiał zrobić, — więc i tę sprawę zostawiam na stronie. Nie trwam się za biegłego znawcę dziejów 18 wieku i to, co powiem poniżej, będzie raczej naprowadzeniem na rzeczy powszechnie przyjęte, niż jakąś moją własną konstrukcją.

Naprzód dwie sprawy ogólniejszej natury. Autor zaznacza w przedmowie, że pominął rozmyślnie aspekt gospodarczy i społeczny epoki, ponieważ chciał skupić uwagę na polityce zagranicznej, jako na czynniku najważniejszym. Zgódźmy się na to; ale czy można zrozumieć politykę zagraniczną bez uwzględnienia tamtego podłoża? Jakże tu rozprawić np. o naprawie Rzplitej w 18 wieku, jeżeli się przemilczy siłę gospodarczą latyfundiów magnackich,

organów potęgi tych panów, którym reforma nie była na rękę?

Autor lekceważy sobie kwestię dostępu Polski do morza; szkoda, że nie przeczytał w książce Włóczyńskiego o traktacie polsko-pruskim z 1775 r., jakie były dla Polski stanisławowskiej następstwa gospodarcze utraty ujścia Wisły. W interesie Napoleona, sądzi p. Bocheński, leżało porozumienie z Rosją. Ale rzucmy okiem na potrzeby handlu zamorskiego Rosji, a zobaczymy, że Rosja musiała trzymać z Anglią, a tym samym zwalczać Francję. Dlatego Napoleon wbrew swojej woli skazany był na wojnę z Rosją i na popieranie Polaków. Można by mnożyć te przykłady, ale jeden jeszcze tylko wystarczy: polityka ugodowa polska w 19 wieku nie da się wytłumaczyć bez uwzględnienia jej społecznego aspektu. Rozum polityczny Lubeckich i Gołuchowskich znajdował oparcie w warstwach posiadających, które szukały u sąsiednich dworów absolutnych oparcia przeciw demokracji krajowej.

Druga sprawa dotyczy przyczyn upadku Polski, a raczej metod badania tych przyczyn. Autor zarzuca historykom, że kładli większy nacisk na przyczyny zewnętrzne (pożądliwość sąsiadów), niż na wewnętrzne (anarchia ustrojowa i błędy polityczne). Ale czy sam autor odrzuca owe przyczyny zewnętrzne jako nieistotne? Wprost przeciwnie. Mówi o nich bez przerwy, tylko posługuje się inną nomenklaturą. Zamiast o „pożądliwości sąsiadów” używa zresztą słusznie, terminu „niepomyślnej koniunktury”. Przyjęcie tego terminu prowadzi do wniosku, że niezależnie od swych zasobów i swojej polityki Polska była raz w lepszym raz w gorszym położeniu międzynarodowym. Otóż analiza problemu odpowiedzialności za rozbiory, względnie za późniejsze powstania sprowadza się do rozstrzygnięcia kwestii: czy w danej chwili dziejowej było możliwe takie zachowanie się Polaków, które zapobiegło następstwom „niepomyślnej koniunktury” zewnętrznej? Jeżeli była możliwość uniknięcia klęski, winni są Polacy, jeżeli jej nie było, nie ma co potępiać naszych przodków za powodzenie takiej a nie innej polityki.

Stosując tę metodę, zgodzimy się łatwo, że smutny stan, w jakim znalazła się Polska w połowie 18 wieku: brak rządu, liberum veto, ciemnota szlachty, prywatna królewiąt — był naszą własną winą. Na to godzą się chyba wszyscy historycy serio i w tym zakresie nikt nie neguje własnej naszej odpowiedzialności za upa-

## Wytyczne

# KRYZYS OBYCZAJÓW

**C**ECHA wszystkich okresów przejściowych jest kryzys obyczajów. Stare normy obyczajowe przestają być wtedy przestrzegane, a nowych jeszcze nie ma. Zjawisko kryzysu obyczajów wzmoczone skutkami wojny występuje jaskrawo w naszym współczesnym życiu. Najlepszemu przykładowi dostarcza sposób bawienia się, który zawsze stanowił kryterium poziomu obyczajów. Słusznie i całkowicie zostały ośmieszone formy rozrywek z epoki salonowo-burżuazyjnej. Warunki życia zmieniły się, formy nie wróciły. Stwierdzić jednak należy, że powszechną formą współczesnej zabawy jest dążenie do jak najszybszego upicia się, a następnie wyżywiania w mniej lub więcej prymitywnym erotyzmie. Jest to po prostu rozkład i dekadencja. Ludzi współczesnych wskutek kryzysu obyczajów mniej wyniszcza najcięższa nawet praca, niż konsekwencje zabaw, w których uczestniczą.

Walka o nową lepszą epokę jest walką o nowe ale obowiązujące formy obyczajów, opartych o wieczność moralność. Pustkę obyczajową trzeba wypełnić twórczą treścią. Odpowiedzialność za wypełnienie tego zadania ciąży w ogromnym stopniu na kobietach. Słuszną jest bowiem stara obserwacja: mężczyźni układają prawo, ale kobiety tworzą obyczaje.



Dm 179/072

dek. Ponieważ jednak p. Bocheński nie podejmuje kwestii: co należało zrobić, aby nie dopuścić do liberum veto, czy też anarchii szlacheckiej, więc tę sprawę zostawiamy na boku.

Inaczej w dziedzinie polityki polskiej. Tu p. Bocheński tłumaczy raz z razem, jak należało postąpić, aby uniknąć klęski. Jeżeli polityka przez niego wskazana mogła, była nas uratować, zaprawdę, słusznie mówiłoby się o głupocie polskiej. Ale jeżeli sytuacja była i tak beznadziejna — to może naród na tej głupocie nie wychodził jeszcze najgorzej? Niestety nie mogę przerobić pod tym kątem widzenia całej książki p. Bocheńskiego, bo żaden tygodnik nie wydrukowałby mi takiego elaboratu. Ograniczę się do paru punktów najważniejszych.

1) W początku 18 wieku, twierdzi p. Bocheński, powinni byli Polacy zgodzić się na „wielki plan Augusta II, t. j. na zaprowadzenie przezeń absolutyzmu. Abstrahując od kwestii, że w ówczesnym stanie polityki magnackiej w Polsce jedynomyślnością była nieosiągalna i że zamach prowadził do rozpadnięcia się państwa. Ale w razie zwycięstwa Augusta: czy kadłub polski, odcięty od morza i poddany rządom niemieckim byłby dla narodu kombinacją szczęśliwą? Dodajmy, że August II nieoficjalnie swą polityką zrobił wszystko co mógł, by Polakom absolutyzm obrzydził. Dlatego trudno go uznać za opatrnościowego męża naszych dziejów.

2) W 1733 r. — tak brzmi teza książki — trzeba było obrać od razu Augusta III, a nie prowokować niepotrzebnie Austrii i Rosji obieraniem kandydata Francji. Nie zamierzam tu bronić żalostnej postawy stronników Leszczyńskiego; ale trzeba przyznać, że osobistość i rządy drugiego Sasa okazały się nieszczęściem dla Polski i pozostałyby nieszczęściem, chociażby naród obrał go był jedynomyślnie. August III wraz z Brühlmem doprowadził do upadku Saksonii i przez długie lata przeszkadzał reformom w Polsce, trudno ex post entuzjasmować się takim kandydatem.

3) Po obrze Stanisława Augusta Czartoryscy nie powinni byli drażnić Katarzyny, ale przystać na proponowany przez nią sojusz i w połowicznej zależności od Rosji rozwijać reformy zewnętrzne. W tym punkcie zgodzę się z p. Bocheńskim, że sprawa jest nie dość zbadana. Może gotowa już monografia Konopczyńskiego o pierwszym rozbiore pozwoli na sąd pewniejszy; w tej chwili przeciwwstawiają się sobie na tym punkcie dwie sprzeczne tezy Konopczyńskiego i Skalkowskiego, nie poparte szczegółowymi dowodami. Muszę jednak zwrócić uwagę na parę punktów, które osłabiają tezę autora. Polityka Petersburga w sprawie polskiej nie była jednolita; ścierały się tu sprzeczne wpływy Panaína, Czernyszewów, Orłowów, później Potemkina i Zubowów i na tę „konjunkturę“ zachowanie się nasze nie miało wpływu. To że polityka carowej zwracała się ku morzu Czarnemu nie było wcale asekuracją dla Polski. Poleganie na tym przypominałoby niedawne złudzenia Becka, który sądził, że Hitler, dając do Anschlussu, zapomni o korytarzu. Przez cały wiek 18 i 19 sprawa wschodnia i sprawa polska były z sobą najściślej związane, Rosja szła naprzód, względnie cofała się równocześnie na jednym i na drugim terenie. Co do Polski jest oczywiście, że Katarzyna II dążyła do utrzymania jej w zależności i właśnie dlatego nie mogła dopuścić w niej do reform ustrojowych. To, co zrobili Czartoryscy w 1764 r., zostało niejako wyszechrowane od

Kayserlinga. Nie przeczę, może zreczniejsza polityka króla mogła była przeciwnie tę grę jeszcze o lat parę, ale trzymanie się programu reform musiało w końcu doprowadzić do konfliktu. Oczywiście można było przyjąć protektorat i zrezygnować z reform. Pytanie czy taka postawa dawała szansę na wyjście kiedykolwiek z protektoratu.

4) W okresie Sejmu czteroletniego Polacy popełnili błąd, zrzucając gwarancję rosyjską i wiążąc się z Prusakami; większą oględność ochroniłaby ich od ponownego rozbioru. Znowu nie zamierzam tu bronić ani nadto gadtliwego Sejmu, ani naiwnych nieco przywódców patriotycznych; zastanawiam się tylko, czy ówczesna bezczynność Rzplitej byłaby ją uratowała od zguby. Nadchodził właśnie dla Polski (stosując terminologię p. Bocheńskiego) okres fatalnej koniunktury, ciągnącej się od 1792 do 1802 roku. W tym czasie wojen rewolucyjnych Rosja musiała płacić Prusom i Austrii za ich udział w kampaniach nad Renem. Był to też okres błyskawicznych zmian terytorialnych, których ofiarą padły organizmy słabsze i bezbronne. W tych latach zeszły do grobu Wenecja i elektoraty nadreńskie, nie licząc kopy innych państweczek niemieckich i włoskich, choć żadne z nich nikogo nie prowokowało. Czy można twierdzić, że nawet najbardziej potulna Rzplita byłaby wyszła cało z zawieruchy? Najbardziej kompetentny znawca przedmiotu, historyk amerykański Lord (szkoda, że p. Bocheński nie zna jego książki „The second partition of Po-

land“) wskazuje m. in. że carowa rozpoczęła kampanię 1792 r. z myślą o przywróceniu protektoratu nad Polską, a nie o rozbiore; rozbiór doszedł do skutku w związku ze sprawą od nas niezależną, mianowicie z wojną francuską. Gdyby Sejm 1788 r. zachował się spokojnie, jak jego poprzednicy, czybyśmy mu nie wyrzucali dzisiaj zaniedbania koniunktury ówczesnej, — tak jak wyrzuca się wcześniejszym pokoleniom zaniedbanie koniunktury 1719 i 1744 roku? Ostatecznie gdyby nie 3 Maj, nie doszłoby do Insurekcji, ale nie byłoby także Legionów i Księstwa Warszawskiego i nie osiągnęlibyśmy w końcu Królestwa Kongresowego związanego z Rosją.

5) Insurekcją Kościuszką autor nie zajmuje się bliżej, mimochodem zaznacza że była przedsięwzięciem militarne beznadziejnym — na co zgoda — oraz niepotrzebnym, gdyż państwo po Sejmie grodzieńskim miało jeszcze widoki przetrwania. Ten ostatni sąd nie da się utrzymać wobec tego, co wiemy z dzieł Askenazego i Tokarza o akcji Zubowów i Igelstroma, zmierzającej do likwidacji resztek odrębności polskiej.

6) W 1818 r., twierdzi p. Bocheński, ks. Józef powinien był przerzucić się na stronę cara Aleksandra, który wówczas odbudowałby Polskę w jej dawnych granicach. W tym miejscu zdziwiłem się: czy wchodzi katolikowi potępić ks. Józefa za to, że nie chciał zdradzić swojego sprzymierzeńca, któremu zawdzięczał niedawno wskrzeszenie Ojczyzny? Ale dość — jeszcze p. Bo-

cheński gotów mnie zgromić za wprowadzanie do polityki praw moralnych i sentymentów. Nie sądzę, aby było wolno odwracać się od praw moralnych w polityce państwa. Ale to jest osobna sprawa — dlatego dla uproszczenia dyskusji odsuwam argument etyczny na stronę.

Czy Polacy mogli zautić Aleksandrowi? Jego polityka z całą pewnością była dyktowana nie sentymentem, tylko racją stanu; podejmował on i poruszał sprawę polską niezależnie od postawy Polaków, ale od własnych interesów. Czartoryski, główny negocjator z 1811 roku, miał pod tym względem bogate doświadczenie. Puśćmy wodze fantazji: jakie by były następstwa zdrady ks. Józefa? Aleksander podjąłby zapewne ofensywę w Niemczech; wiele przemawia za tym, że zostałyby pobity; jak wyglądałaby wtedy sprawa polska? Ale może Aleksander pozwoliłby się atakować: wówczas Napoleon, mając przeciw sobie Polaków, musiałby się oprzeć na Prusach. W takim wypadku zwycięstwo Rosji mogło skończyć się dla nas fatalnie, gdyż car dążyłby wtedy do przeciągnięcia na swą stronę Prusaków, oczywiście za cenę ustępstw w Polsce. Jeszcze jedna uwaga: w rozgrywce między silniejszymi dobrze jest czasem słabszemu partnerowi stanąć po stronie przegrującego, aby w stosownej chwili dać się zjednać przez stronę zwycięską. Tak właśnie w ostatniej wojnie wyszli obroną ręką z kollaboracji Czesi i Francuzi — i coś podobnego można powiedzieć o naszych losach w latach 1812 — 15.

Nie chciałbym być źle zrozumianym. Nie mam najmniejszego zamiaru bronienia wszystkich naszych szaleństw zeszlowiecznych i doceniam znaczenie propagandy realizmu politycznego w chwili bieżącej. Chcę tylko uzmysłowić całą złożoność przedsięwzięcia. Nie dość jest potępić tych, co stali u steru w chwili klęski i orzec, że powinni byli pójść przeciwną drogą. Należy jeszcze zastanowić się nad tym, co ich pchnęło na drogę nieszczyśnego czynu; czy spłot czynników społeczno-gospodarczych, czy przemowny nacisk zewnętrzny, czy żądanie kraju, czy rzeczywistość tylko własna „głupota“. Procesy dziejowe są rzeczą skomplikowaną i nie zawsze dane jest narodowi moc rozstrzygać o swoich własnych losach.

O ile rozumiem, jest w pogotowiu drugi tom omawianej książki, roztrząsający sprawę naszych powstań w 19 wieku. Cieszyłbym się, gdyby autor zechciał skorzystać z poniższej życzącej rady: przejrzeć dokładnie tekst przed oddaniem do druku, sprawdzić fakty i daty, uzupełnić literaturę, zwłaszcza, gdy idzie o znajomość stosunków międzynarodowych, pamiętać o czynniku społeczno-gospodarczym. I najważniejsze: nie sądzić zbyt pośpiesznie, starać się zrozumieć powody błędnej decyzji przed wydaniem ostatecznego wyroku. O wyrozumiałość dla historyków nie proszę, bo na sądy publicystyki są na ogół mało wrażliwi. Ale głębsze przemyślenie tematu może tylko wyjść na korzyść słusznej sprawie, której chce służyć ogłoszone dzieło.

Stefan Kleniewicz.

## Otto Forst-Bataglia

# Wychowanie a niepodległość Austrii

Znaczenie problemu młodzieży austriackiej, a zwłaszcza młodzieży szkół wyższych, przekracza granice kraju, w którym problem ten powstał i sięga znacznie dalej. Suwerenność państwa austriackiego jest jednym z podstawowych warunków trwałego pokoju europejskiego. Suwerenności tej jednak nie gwarantuje w dostatecznym stopniu samo postanowienie zwycięskich mocarstw obcych. Musi ona oprzeć się na tym elemencie, który jest przede wszystkim powołany do jej strzeżenia — na samych Austriakach. Jednak, jak wykazała historia ostatnich lat, Austriacy, wbrew późniejszym próbom upiększania sytuacji mało wykazali zapału dla utrzymania swej niepodległości przed Anszlusem. Kiedy w marcu 1938 niemiecka armia wkroczyła do Austrii, nie podjęto nie tylko żadnego poważniejszego oporu zbrojnego, który byłby zresztą bezcelowym szaleństwem, ale nawet żadnego oporu moralnego. Ten fakt został przyjęty przez wszystkich przyjaciół Austrii z wielkim zdziwieniem, przerażeniem i ubolewaniem. Przyczyną tak biernego ustosunkowania się do problemu własnej niezawisłości, dla którego nie ma przykłady w historii żadnego innego narodu europejskiego, szukać należy przede wszystkim w zagadnieniach wychowawczych.

Wychowawca austriacki zawiódł, a konsekwencją tego była postawa młodzieży. Jeżeli w 1866 r. można było twierdzić, że nauczyciel pruski wygrał wojnę, to można z równym powodzeniem utrzymywać, że w tym wypadku nauczyciel austriacki winien jest, jeśli nie utracić niepodległości, to przynajmniej utracić woli do jej utrzymania. Dla znalezienia przyczyn takiego stanu rzeczy należy sięgnąć wstecz do czasów monarchii habsburskiej.

Od czasów przedmarcowych, zwłaszcza zaś od okresu ery konstytucyjnej 1867 — profesorowie wyższych uczelni, niezależnie od swego światopoglądu, który mógł być liberalny, rasistowski, lub klerikalny, byli nastojeni narodowo - socjalistycznie.

Podziwiali oni głęboko państwo Bismarkowskie, naukę niemiecką i rozwój „Wielkich Niemiec“, a dla własnej zesłowieczonej dynastii i narodów jej podległych, co „wznosił człoło kariatydy“ — jak powiedział Fryderyk Hebbel, wiedeńczyk z wyboru — odczuwali jedynie pogardę i wstręt.

Na uniwersytetach austriackich, gdzie wykłady odbywały się tylko w jęz. niemieckim, kształcono na koszt państwa przyszłych urzędników, lekarzy, uczonych, adwokatów, wpajając w nich wrogość wobec własnej ojczyzny i nienawiść do mówiących innym językiem współobywateli. Było to w znacznej mierze spowodowane obecnością wielu profesorów, pochodzących z Rzeszy. Z katedr ten sam duch rozszerzał się między uczącą się młodzież. Młodzież ta stawała po stronie Hohenzolernów przeciw Habsburgom, szła na lep wojującego antysemityzmu, Ignęła do wyzywającej Irredenty niemieckiej, do idei zerwania z Rzymem i rozpalala w sobie nienawiść przeciw wszystkiemu, co nie było germańskie. Ci sami studenci wchodzili potem w życie jako nauczyciele, urzędnicy i sędziowie, i oni z kolei stawali się apostołami wpojonych im poglądów.

Już mali chłopcy w szkołach średnich ssali tę truciznę. Nie trzeba zapominać o tym, że Adolf Hitler zawdzięczał zasady swojego systemu politycznego pewnemu nauczycielowi historii w szkole realnej w Linz.

Upadek monarchii austro - węgierskiej należy przypisać przede wszystkim chybnemu wychowaniu, i ciężko błądzącym profesorom.

Gdy w 1918 r. monarchia ta rozpadła się, największą troską po niemiecku czujących profesorów i studentów, wraz z większością inteligencji i to nie tylko „aryjskiej“ — był „powrót do Rzeszy“. Była to wspólna tęsknota katolików: Hugelmanna i Eibla,

prawnika dworskiego Hrabiego Gleichspacha, liberalisty - historyka Bibla — i socjalisty Ottona Bauera.

Ci nieliczni politycy, dla których właściwe interesy Austrii stanowiły naprawdę istotny problem, musieli ukrywać swoje przekonania i owijając je w bawełnę pro - niemieckiej frazeologii, jak to czynił np. Ignacy Seipel. Uniwersytety i uczelnie techniczne, gimnazja i szkoły realne zapewniały rocznik za rocznikiem młodzież, przepojonej duchem narodowo-socjalistycznym, podczas gdy wspomnienie o Austrii pozostało jedynie, przywilejem paru zwapniałych legitymistów.

Gdy w okresie ogólnie - europejskiej koniunktury austriacka myśl niepodległościowa została wskrzeszona w postaci niefortunnego państwa stanowego, nie miała ona już podstaw rozwoju.

Znaleźli się wprawdzie tacy, którzy z niej ciągnęli korzyści, lub szli za nią przez pewien czas, aby zdradzić przy pierwszej okazji — obrońców jednak było mało, a i ci nie mogli się uwolnić od niemieckiej hipoteki. Przykładem tego niech będzie Kurt O. Schuschnigg. W ten sposób doszło do 99 proc. głosów akceptujących plebiscyt Hitlera, i do hołdowniczych zebrań osobistości świata sudecko - niemieckiego, które zresztą do dziś piastują w Austrii wysokie godności kościelne i świeckie. Młodzież austriacka zapisywała się masowo, najpierw do tajnej organizacji „Illegalen“ i biegała w jasny dzień w białych skarpetkach, manifestując w ten sposób swoje narodowo - socjalistyczne poglądy, a potem w olbrzymim procencie do S.S., S.D., i Gestapo.

Gdy w wiosną 1945 r. powstała z ruin nowa Austria, pierwszą troską ludzi, kierujących jej losami stało się zniszczenie zła u korzeni — wychowanie młodzieży w innym duchu, któryby nie był zapożyczony z tamtej strony nowo wzniesionej granicy. Sposobność ta była, jak zwykł okre-

ślać ten, co mimowoli ją stoczył „jednorazowa“. W wielkiej czystce wyrzucano całymi grupami profesorów szkół wyższych i średnich z ósrodków ich teutońskiego kultu. Starano się również przeprowadzić selekcję wśród słuchaczy szkół wyższych i uczniów gimnazjalnych. Lecz już na początku wyłoniły się „wudności“, które to prawie uniemożliwiły. Nawet przy zastosowaniu najdogodniejszych kryteriów i usunięciu tylko najgłośniejszych wielbicieli Wodza i Rzeszy — prowadzenie nauki było niemożliwością.

Kto mógł uniknąć cenzury przy założeniu, że przynależność do narodu - socjalistycznej III Rzeszy i publiczna działalność w demokratycznej Austrii nie dadzą się pogodzić? Dwóch wielkich historyków: Józef Nadler, autor niemieckiej historii literatury, która wywarła największy wpływ na sposób rozumienia kultury niemieckiej i Henryk O. Srbik, autor „Metternicha“ również nieściety na brunatno farbowany. Szalony i genialny historyk sztuki Józef Strzygowski (nota bene same nazwiska Strbika — potomka Czechów i Strzygowskiego — Polaka z pochodzenia wskazują, jak to było z „niemieckością“ austriackich intelektualistów).

Najwybitniejszy liryk niemieckiej mowy od czasów Bilkego i Stefana George, Józef Weinheber, silniejszy charakterem od innych, wobec katastrofy Wielkiej Rzeszy wybrał śmierć samobójczą! — Wielej dostarczyciele historycznych powieści — jak Mirko Jelusich, dawniej — dyrektor teatru dworskiego, obecnie — dopiero co zwolniony przez sąd od zarzutu aktywnej działalności nazistowskiej. Są na tej liście i Robert Hohlbaum, bibliotekarz Uniwersytetu Wiedeńskiego, i utalentowani poeci Rudolf List, Fryderyk Schreyvogel, Ernest Scheibler, którzy płynęli pod katolickim znakiem.

Na tym kończymy wyliczenie, bo trzeba byłoby umieścić całe listy...

kladowców i członków towarzystw literackich, i to po wyłączeniu legitymistów, którzy cicho siedzieli, komunistów, którzy się ukrywali i Żydów, którzy uciekli lub zostali wymordowani.

W międzyczasie jednak wyrosła nowa młodzież i ta młodzież chce wziąć zadania wychowawcze w swoje ręce, względnie domaga się powołanych do tego nauczycieli.

Wyrazem woli pozytywnej pracy dla Austrii jest specjalny zeszyt czasopisma „Plan”, wydawanego w duchu Karola Krausa, który łącznie z Schaukl'em, Musil'em i Broch'em reprezentował prawdziwy patriotyzm austriacki pośród zalewu niemieckości. To samo wyraził przed kilkoma miesiącami cały świat robotniczy Wiednia w wielkiej demonstracji przed Uniwersytetem. Niezależna myśl niepodległościowa austriacka znajduje swój żywy wyraz i w innych czasopismach, prócz „Planu”, jak „Świat literacki”, die „Furche”, der „Turm”, „Przegląd austriacki”, „Przyszłość” i „Austria”, poza tym w prasie codziennej i wreszcie w parlamencie. Wszystkie czynniki miarodajne zdają sobie sprawę z tego, że w kraju takim jak Austria, kwestia suwerenności państwowej jest przede wszystkim zagadnieniem wewnętrznego przedstawienia się i zwrotu w dziedzinie kultury duchowej. Szkoła, praca, literatura, teatr i sztuka stanowią tu kluczowe pozycje.

Leż trudności napotyka się nie tylko na terenie działalności oświatowo-kulturalnej. Podczas gdy minister oświaty Hurdas, hystry i czujny polityk z partii ludowej, rektor Uniwers. Wiedeńskiego, prof. Adamovich, przywódca młodzieży katolickiej, socjalistycznej i komunistycznej, wierni Austrii weterani literatury i wreszcie cały pocieszający zdolny młody narabyk — trudzą się, chcąc wywalczyć ideę samodzielną państwowości na płaszczyźnie duchowej — to natrafia ona na poważny opór w płaszczyźnie materialnej. W kraju, w którym wybitne uzdolnienia w dziedzinie nauki, sztuki i poezji, oraz zamiłowanie do piękna łączy się z materialistycznym ustosunkowaniem się do życia codziennego, nie jest rzeczą łatwą przekonać młodzież o konieczności stworzenia państwa, które miałyby w perspektywie lata głodu i wyzuczenia. — „Czyż mamy cesarza posadzić na kupie gnoju?” — bronił się dr. Ender, dawniejszy kanclerz związkowy przeciw żądaniom legitymistów, którym wyjaśnił, że odrestaurowanie cesarstwa byłoby możliwe jedynie w okresie ogólnego dobrobytu. Teraz jest w Austrii jeszcze sto razy gorzej pod tym względem. Ankieta, przeprowadzona przez szkolną Radę Miejską w Wiedniu wykazała wśród dzieci proletariatu i zubożonego mieszczaństwa przerażające zdziwienie i ośpienie. „Gdyby Pan Bóg istniał, to już dawno dałby nam coś do zjedzenia” — brzmiała bluźniercza odpowiedź jednego z dzieci na zasadnicze pytanie natury metafizycznej. Chłopcy marzą jeszcze ciągle o wojnie brunatnych batalionów, a dziewczęta porzuciły już marzenia o karierze gwiazdy z Hollywood, każda z nich pragnie teraz zostać właścicielką sklepu spożywczego. A wszyscy zajmują się nielegalnym handlem.

Jako zasadniczy problem wyłania się więc zagadnienie, w jaki sposób dać młodzieży austriackiej podstawy moralne i wpoić w nią świadomość wspólnoty społecznej bez używania do tego celu narodowo-socjalistycznej przyprawy. Jest to przecie i ta sama młodzież, którą uczono zabijać, której odebrano religię i poczucie wspólnej więzi państwowej. Możliwość powstania państwa austriackiego zależy wogóle od tego, czy uda się zebrać elitę duchową ze wszystkich klas społecznych, wyrobić w niej poczucie obywatelskie i społeczne i skierować na drogę właściwych interesów Austrii. Jest to zadanie bardzo trudne.

Otto Forst-Battaglia

Jan Dobraczyński

Kiedy się minie Simplon i wyjeżdża na rozloneczoną wyżynę lombardzką, człowiek ma uczucie, że dostał się do jakiegoś kraju z bajki. Jeszcze ma się w uszach dźwięki wrzaski celników francuskich, jeszcze się widzi ich pełne nieprzystoiwowej niekultury zachowanie. Jeszcze się czuje grzeszny, ale zimny i bezwzględny rygor celników szwajcarskich. Jeszcze się ma w pamięci tę Europę współczesną, podzieloną na klatki obszarów celnych, odgradzonych od siebie tysiącem przepisów — nigdy nieznanych, zawsze zaskakujących swoją nieoczekiwanością — kiedy nagle wjeżdża się do kraju, którego celnicy zdają się przychodzić do wagonu tylko dla formy, gdzie nikt nikomu w kieszeni nie grzebie, gdzie nie ma pgoni za ukrytym dolarem, gdzie natomiast, już na peronie dworca w Domodossoli, stoją budki oficjalnych „wymieniaaczy”, wymieniających po wcale dobrym kursie przywiezione franki. I po tym samym peronie jedzie wózek pełen złotych pomarańcz, cytryn, okrytych słomą butelek z chianti, czekolady, cukierków. Słońce, pomarańcze i wino — stanowią za dużo na przybyśza z północy, zwłaszcza, gdy ten przybyśz pokoszował po drodze francuskiej niegościnnosci, paryskiej mgły i lurowatego francuskiego piwa.

WŁOCHY SA KRAJEM KONTRASTÓW

Pierwsze uczucie, jakie się budzi w człowieku, który do Włoch przyjechał, jest uczucie, że jest — w kraju rodzinnym. A nawet coś więcej. Uczucie — że jest kimś w tym kraju specjalnie mile widzianym. W Belgii, we Francji, w Szwajcarii patrzy się na przybyśza, jako na zło konieczne. We Włoszech każdy przybyśz budzi entuzjazm. Ustępuje mu się miejsce, śpieszy się, aby mu wskazać drogę, usłużyć informacją. Prawda, że jest w tym dużo interesowności. Przeciętny Włoch marzy, aby coś turystycznie sprzedać. I na ogół sprzedaje rzetelnie. Rzecz jednak warta uwagi, że Włoch jest równie grzeszny wtedy, gdy nie sprzedaje. Byłem niejednokrotnie świadkiem takich scen: jadę koleją; moi towarzysze, często nawet półinteligentni włoscy biorą się do jedzenia. Wyciągają wino, ser i najkosztowniejszą rzecz we Włoszech — chleb. I pierwsza rzecz czepią się obokrajowca. Innym razem przynoszą mu pomarańcze. Innym razem ustępują mu miejsca w nabitym pociągu. Jadąc — nocą! — z Florencji do Mediolanu — dostałem się do zapchanego po brzegi wagonu. Na sam dźwięk mego głosu, gdy tylko zrozumiano, że jestem cudzoziemcem — zrobiono mi miejsce. Mężczyzna, który mi ustąpił, stał parę godzin w natłoczonym korytarzu. Widziałem scenę po prostu godną farsy: do małej cukierni rzymskiej wchodzi towarzystwo kilku Angielok. Okazuje się, że brak jednego krzesła. Kelner bez namysłu wyciąga to krzesło... spod jakiegoś Włocha. Tamten ma minę głupią, ale nie protestuje. Innym razem wchodzi do cukierni, by zatelefonować. Jestem więc klientem mało interesującym. W drzwiach wpada na mnie mocno zawiany żołnierz włoski. Mijamy się w sposób nieco kłopotliwy, ale ostatecznie bez żadnej szkody dla któregoś z nas. Tym niemniej wybuch awantura: tłum bowiem kelnerów, przygodnych obserwatorów, korabinierek rzucają się na żołnierza, szarpną go, krzyczą. W zamęcie słyszę powtarzane słowo „cudzoziemiec”. Uważają mnie za ofiarę. Co najmniej piętnastu osobom muszę odpowiedzieć, że nie mi, się nie stało i nawet nie mam najmniejszych pretensji do żołnierza. W końcu przeprosza mnie żołnierz, korabinierek, właściciel cukierni, paru kelnerów... Byłem naprawdę w kłopotcie. Słońce i wino, pomarańcze i włoska grzeszność. „nylony” na każdej

wystawie, oszalałając tanie obuwie niebywałe torebki ze świnińskiej skóry, sterły bajecznie wydanych książek.. Człowiek ma wrażenie, że nagle znalazł się w przedwojennej Europie. Zamyka oczy — chce śnić dalej. Potem otwiera oczy — i znowu czuje jakby uderzenie pięścią po głowie. Wzdłuż torów rozwalone domy, całe zburzone wsie, wysadzone mosty, złamane kominy, rozrzucony, porzeczony wojenny sprzęt niemiecki, spalony tabor kolejowy, ludzie obdarci, bladzi, o twarzach zdradzających głód i wyczerpanie.

ŚLADY PRZEGRANEJ WOJNY

Włochy są bardzo zniszczone. Im dalej jedziemy na południe, tym obraz przedstawia się tragiczniej. Rzym nie nosi śladów wojny. Ale Mediolan ma wiele szkód (naruszony bok precudnej, koronkowej katedry mediolańskiej). Florencja wygląda rozpaczliwie: małe, średniowieczne domki wzdłuż Arno zostały zniszczone. Cudem wyszedł cało Ponte Vecchio. Terracine leży w ruinach. Ciężkie straty poniosła Formio. Neapol jest bardzo zniszczony.

Kraj jest zniszczony, koleje zniszczone, mosty powysadzane, wiele bezcennych arcydzieł sztuki uległo także zniszczeniu. Rozbito jest Castel del Ovo i S. Elmo w Neapolu, obrabowane przez Niemców willa d'Este w Tivoli, nieczynna, na skutek uszkodzeń, galeria Ufficii... Wymieniam zresztą to tylko, z czym się osobiście spotkałem. Strat jest więcej, strat jest bardzo dużo.

Obok tych strat — Włochy poniosły stratę ogromną: utraciły kolonie. Część tych kolonii miała charakter wyłącznie prestiżowy, ale część (Libia, Tripolis) — to już prawie część Italii. Włochy są przeludnione i Włochy są biedne. Przy najlepszym zagospodarowaniu nie mogły nigdy wykarmić swej ludności. Jakże potrafią to zrobić dziś, gdy są zniszczone wojną, gdy nie mają kolonii i gdy — pomimo wszystkich możliwych wysiłków — nie mogą ściągnąć jedynego źródła narodowego dochodu — turystów?

Przemysł włoski był nastawiony przede wszystkim na turystów. Życie włoskie było nastawione na turystów. To jedyna dodatnia pozycja bilansu płatniczego równoważąca ujemny bilans handlowy. Próżno Włosi robią bohaterские wysiłki. Próżno kosztem tysiąca wygód swoich obywateli usprawnili obsługę turystów. Próżno zorganizowali z cudowną precyzją działające biura podróży. Próżno odbudowują muzea, galerie, mniej zniszczone budynki. Próżno przemysł włoski sprzedaje swe wyroby typu eksportowego po cenach niezrozumiałe niskich. Próżno cukiernie sprowadziły do minimum koszt kawy espresso, lodów i wina. Próżno nie ma praktycznie walki z czarnym rynkiem walutowym i kraj woli dolara sprzedanego na wojnym (vel czarnym) rynku, niż dolara nieprzywiezionego.

Próżno wysiłki! Turystów nie ma! Turystów nie ma dostatecznie wielu! Włochy bez turystów są skazane na katastrofę. To rozumieją we Włoszech wszyscy. Tym się wszyscy martwią. Ale to, że turystów nie ma — to nie zależy od Włochów.

NIE TURYSŃCI — AMERYKANIE

Nie ma turystów — są natomiast Amerykanie. Problem amerykański jest problemem dzisiejszych Włoch. Po ulicach Rzymu mkną z niebywałą szybkością khaki „jeep”, w którym siedzi dwóch eleganckich żołnierzy w hełmach z żółtą opaską i z literami M. P. Czasem „jeep” przejeżdżając zagadane Włocha. Żołnierz mało się tym martwi. Mają poczucie swej wszechmocy. Kto posiada amerykańskie papierosy i amerykań-

ską czekoladę — ten może wszystko. A kto oprócz tego posiada dolary...

Pogląd przeciętnego Włocha na problem amerykański jest niebywałe skomplikowany. Amerykanin nie jest turystą, ale przecież ma dolary. Nie jest miłym okupantem, ale z drugiej strony strzeże porządku i nie dopuszcza do zbrojnych porachunków, o które we Włoszech nie było by trudno. Jego bomby — w równej mierze jak bomby niemieckie — zniszczyły Włochy, ale tylko jego pomoc może Włochy odbudować. Jest zupełnie prymitywny, kulturalnie, lecz tym niemniej, tylko dzięki niemu, uruchomić można na nowo galerie i muzea.

Francuzi ze swą umiejętnością „przystosowywania” się z kolei już się „przystosowali” do Amerykanów. Wszystko jest na amerykański fason: sklepy, wystawy, cukiernie, nocne lokale. Od Lafayette'a do galerii Lafayette'a. Filmy („Syn Tarzana”, „Córka Tarzana”, „Tarzan w New Yorku”, „Tarzan walczy z Nazis”!!!), teatr (O'Neil, Steinbeck), książka... Największe magazyny mody przenoszą swe centra za ocean. Black boys — i mulciatki. Wrzeszczące hordy, które w czapce na głowie „zwiedzają” Notre Dame...

Włoch nie przystosowuje się tak łatwo. W rzeczywistości — to nie jest człowiek — jak go sobie często wyobrażamy — o miękkim karku. Jeśli jest grzesznym sprzedawcą, to dlatego, że rozumie sens grzeszności. To nie znaczy jednak, by szedł za pierwszym lepszym, który płaci...

Tym niemniej Włochy muszą mieć turystów, aby żyć. Muszą uznać w amerykańskim żołnierzu turystę.

FILM „PAISA”

Problem został postawiony. Został nakręcony film włoski, poświęcony jego omówieniu. Film się nazywa „Paisa”. Pierwszorzędny obraz! Na marginesie trzeba powiedzieć, że filmy włoskie (np. „Sciuscia”) są świetne, o wiele lepsze od wcale nieświetlnych „Tarzanów”. Otóż „Paisa” to sześć niezależnych od siebie obrazków. Pozwolę sobie opowiedzieć o kilku z nich.

Obraz pierwszy: Noc. Patrol amerykański ląduje na wybrzeżu Sycylii z zadaniem obsadzenia starej wieży. Zbliża się do wioski, otacza ją, żąda przewodnika. Pokazuje się, że drogę do wieży zna tylko młoda dziewczyna. Wobec tego patrol zabiera ją ze sobą. Po drodze żołnierze próbują flirtować z dziewczyną, ona jednak nie okazuje do tego ochoty. Jest dzika, nieufna. Boi się uzbrojonych ludzi. Wreszcie patrol dochodzi do wieży, dowódca pozostawia w niej dziewczynę i jednego żołnierza. Reszta idzie dalej. Tymczasem patrol niemiecki spostrzegł podejrzaną ruchy na wieży. Celny strzał powala Amerykanina. Z kolei Niemcy obsadzają wieżę. Dziewczyna rozumie niebezpieczeństwo. Porywa leżący karabin, pocyna strzelać. Naturalnie Niemcy ucinają ją szybko. Ale Amerykanie zostali zaalarmowani. Gdy ciążo dziewczyny wali się na nadbrzeżne skały, dowódca Amerykanów gniewnie wrzeszcza ramionami: „to Fred zabawia tę głupią ragazzę!”

Obraz drugi: dzień zwycięstwa. Wśród pełnych podniecenia tłumów zatacza się pijaniusiński murzyn — żołnierz amerykański. Grupa uliczników stara się go okraść, ale z ich rak uwalnia go mały, może dziesięcioletni ich towarzysz. On się zaopiekował murzynem. Prowadzi go wśród tłumów. Rozmawiają, sądząc po minach. Wreszcie murzyn zasypia... Widzimy po potem na „jeepie” w mundurze „military police”. Ściga samochód UNRRY, z którego jakiś mały złodziej usiłuje zrzucić skrzynkę z

Problemy włoskie

Konserwami. (Problem dziecka bez opieki — ofiary wojny — jest jednym z tematów zajmujących specjalnie Włochów. Temu poświęcony jest np. film „Sciuscia”. A u nas? Murzyn ujmuje złodzieja. Okazuje się, że jest to ten sam mały, czarnooki chłopczyk. „Ach, to ty! — woła murzyn, szarpając nim — to ty! Oddaj mi buty, któreś mi wtedy ukradł!” Wpycha małego do samochodu, każe mu się zaprowadzić do ojca. Jadą za miasto. Na peryferiach mieści się kolonia bezdomnych — uciekinierów ze zbombardowanego miasta. Baraki, niedza, głód. Chłopak wydobywa gdzieś z kąta amerykańskie buty ze skórzanej podpinkami, murzyn rozgląda się po otaczającym go tłumie nędzarzy. Na jego twarzy pojawia się liłość — i wstyd. Bez słowa zostawia matemu buty. Odjeżdża prędko, nie sił w „jeepie”.

Obraz trzeci: tłoczna ulica rzymska. Wieczór. Umalowana dziewczyna chwytła w ramiona lekko zataczającego się żołnierza amerykańskiego. Pościaga go za sobą. Żołnierz idzie dość opornie. Wchodzą do jakiegoś mieszkania. Dziewczyna przysuwa się do żołnierza kokietryjnie — namiętnym ruchem. Ale on odsuwa ją od siebie. „Takich jak ty są w Rzymie tysiące... Mógłbym mieć każdą. Ja szukam tej jednej...”. Tej jednej, która mu dała bezinteresownie kubek wody, gdy wjeżdżał na czołgu do cudownie ocalonego Rzymu. Ją chciałby raz jeszcze zobaczyć. Dziewczyna słucha — i płacze. „Zobaczysz ją jeszcze raz... — upewnia żołnierza. — Jutro, przy Colosseum...”. Ubiera się, odchodzi. Następnego dnia widzimy ją idącą do spotkanie pod ruinami. Zmyła szminkę, ubrała się inaczej — i teraz widzimy, że to ona jest ową Francescą, która zdobyła miłość żołnierza. Ale pada rżęsiły deszcz. Dziewczyna nie może się zdecydować na opuszczenie bramy. Amerykanin mknie, czeka, patrzy na zegarek. Wreszcie zniecierpliwiony odjeżdża. Nie zobaczył swojej Francesci...

Obraz czwarty: Niemcy topią w rzece schwytych partyzantów włoskich. Ale nad tą samą rzeką, w trzcinach, ukrywa się oddział partyzancki, dowodzony przez oficerów amerykańskich. Zadaniem oddziału jest pomaganie strąconym lotnikom alianckim. Oddział przeżywa właśnie swój kryzys — brak mu żywności. Amerykanin — dowódca wysyła jednego z Włochów po chleb do chaty jakiegoś rybaka. Ten daje chętnie. Cóż kiedy następnego dnia Niemcy „ukarali” rybaka, mordując jego i całą jego rodzinę. Oddział partyzancki znajduje się w coraz cięższym położeniu. Wreszcie Niemcy przystępują do jego likwidacji. Następuje krwawa walka, w której większość Włochów ginie. Feszta — wystrzelawszy całą amunicję — musi się poddać. I wtedy ma miejsce wcale dobrze znana i u nas scena: Amerykanie i Anglijcy są doprowadzeni na bok... To są żołnierze. Dowódca Niemców pyta ich uprzejmie, czy wolą się napić piwa, czy wina... Równocześnie jego żołnierze wieszają lub topią ujętych Włochów...

To są cztery charakterystyczne fragmenty filmu. Później opowiem jeszcze piąty. Sądzą jednak, że te cztery odmalowują w dostatecznie tragicznych barwach problem, którego treścią jest, że ci, którzy rządzą Włochami — kimkolwiek by byli — muszą szukać oparcia o Amerykanów, ci natomiast, którzy się z sojuszniczą okupacją bezpośrednio stykają — nie mogą powstrzymać się przed coraz bardziej rosnącą niechęcią do przybyszów zza morza. Chęćscijańska demokracja, liberałowie „qualunquisci” (grupa pravicowo-radikalna, powstała wokół pisma „Uomo qualunque”), socjaliści są wyraźnie i

## W kraju...

PRYMAS ANGLII W POLSCE

W dniu 4 czerwca przybył do Polski z dwutygodniową wizytą Arcybiskup Westminsteru J. Em. Ks. Kardynał Griffin. Prymas Anglii był gościem Episkopatu Polskiego. W czasie swego pobytu Kardynał Griffin zwiedził Warszawę, Lublin, Kraków, Katowice, Opole, Wrocław, Poznań, Gniezno, Pelplin, Gdańsk, Oliwę, Gdynię, Bydgoszcz, Włocławek i Częstochowę. Wziął udział w procesji Bożego Ciała w Łowiczu, oglądał miejsce kaźni w Oświęcimiu i uczestniczył w uroczystościach ku czci Cudownej Matki Boskiej w Piekarach. Wszędzie doznał gorącego i entuzjastycznego przyjęcia. Górnicy kopalni „Wujek” wręczyli Arcybiskupowi upominek w postaci rzeźby św. Barbary, patronki górników, wykonanej w węglu. Wypróbowany Przyjaciel naszego Narodu, oświadczył, że „na podstawie dotychczasowych obserwacji czynionych w Polsce nabrał głębokiego przekonania, iż Polska jest krajem na wskroś katolickim”.

## DYSKUSJA MIĘDZY PPS A PPR

TRWA dyskusja między dwiema partiami marksistowskimi, zapoczątkowana pierwszomajowym wystąpieniem Wicepremiera Gomółki. P. Wicepremier postulował wtedy zlanie się w organiczną jedność obu partii, nie określając zresztą bliżej terminu w jakim ów proces całkowitego winien się dokonać. Na tym tle wywiązała się żywa polemika, z toku której można było wysnuć wniosek, że PPS zamierza nadal zachować swoją odrębność organizacyjną, jakkolwiek stoi w dalszym ciągu na stanowisku ścisłej współpracy w ramach Bloku. Cierpkie słowa pod adresem spółdzielczości, które padły w Romie z ust Min. Minca oraz oświadczenie Wicemarszałka Szwalbego na plenarnym posiedzeniu Sejmu, że „dotychczasowe doświadczenia handlu państwowego każdy obiektywny sędzia musi uznać za znacznie mniej udane niż spółdzielczość” — można uważać za dalszy etap dyskusji. Ostatnio przedmiotem ataku „Głosu Ludu” stała się łódzka mowa Min. Osóbki-Morawskiego, w której przewodniczący CKW PPS opowiedział się przeciwko „zbyt niemu etatyzmowi”. Rękawica rzucona przez redaktora „Głosu Ludu” p. Romana Werfla została natychmiast podjęta przez p. Grzegorza Jaszuńskiego z „Robotnika”. Polemika trwa. Sam fakt p u b l i c z n e g o o dyskusjonowaniu problemów spornych należy uznać za bardzo pocieszający objaw. Słusznym jest, że w miarę stabilizacji stosunków wewnętrznych wzrasta zakres możliwości krytykowania, nie zawsze zadowalającego stanu rzeczy. Chociaż dyskusja w swej dotychczasowej fazie nosi wszelkie znamiona „sporu w rodzinie”, a termin „uspołecznienie” pojmujemy zgola odmiennie niż socjaliści to jednak z żywym zainteresowaniem śledzimy próby przeciwstawiania się przerosom etatyzacji. Uważając, że Polski nie stać na luksus namiętnych rozgrywek natury politycznej chcielibyśmy przynajmniej dostrzec rezultaty dyskusji w konkretnym usprawnieniu działalności zarówno PCH jak i „Społem”.

mocno proamerykańscy. „Szary człowiek” z ulicy, mały „guide” jakiegoś turystycznego biura, marynarz z Neapolu, któremu marynarze amerykańscy (a jest ich w Neapolu cała masa) odbijają dziewczynę, robotnik, „cafon” — coraz bardziej stają się antyamerykańscy. To jest jedna z tajemnic rosnącego wpływu komunistów we Włoszech.

Gdy więc sprawa Amerykanów łączy, a jednocześnie dzieli naród włoski, należało by jeszcze powiedzieć, jaką w tym wszystkim rolę odgrywa Kościół.

Wspomniałem wyżej o filmie „Paisà”. Jest w nim taki fragment: widzimy cichy, zapomniany klasztor na zboczach wzgórz. Wokół toczy się i przewala wojna. Klasztor żyje wciąż życiem modlitwy, kontemplacji, codziennych gospodarskich zajęć. Pewnego dnia do furty puka trzech ludzi — trzech amerykańskich kapelanów wojskowych. Zakonnicy wprowadzają ich do środka — początkowo nieufność do ludzi bez sutan, zamienia się z wolna w przyjaźń.

Alisi nagle — *coup de foudre*: rozlega się dzwonek na Anioł Pański. Zakonnicy pochynają się modlić; przyłącza się do nich tylko jeden z przybyłych. Na pełen zdumienia gest przeora, amerykański kapelan wyjaśnia mu, że tylko on jeden jest księdzem katolickim. Ten drugi — to pastor, ten trzeci — to rabin.

W klasztorze konsternacja. Zakonnicy powtarzają sobie na ucho z gestem oburzenia: „uno cappellano ebraico!” Więź przyjaźni nagle się zrywa. Między zakonnikami i kapelanami powstaje przepaść.

Zakonnicy w filmie zachowują się śmiesznie. Patrząc na tę scenę, sala ryczy pełnym złośliwości śmiechem! Rozmawiając z szefem propagandy włoskiej Chrześcijańskiej - Demokratycznej p. Jerzym Tupiniem, zwróciłem mu uwagę na niewłaściwą tendencję, jaką wywołuje ten fragment. Ostatecznie i zakonnicy mogą nie dopełnić praw gościnności, mogą zachować się niewłaściwie. Ale autorowi scenariusza chodziło o coś zupełnie innego: chciał on przeciwstawić nieżywość zakonnika włoskiego nowoczesnemu „światowemu” księdzu amerykańskiemu, nie lekającym się zekłnięcia, a nawet koleżeństwa z duchownym innej religii. Zestawienie fałszywe. Zakonnik będzie zawsze człowiekiem oderwanym od świata, ksiądz świecki musi żyć w świecie. Zakonnik ma inne zadania, ksiądz inne. Widziałem księży włoskich, którzy w mundurach, jako kapelani wojskowi, spełniali doskonale swą misję. Widziałem nawet zakonników włoskich w tej roli. Nie wyobrażam sobie, aby to mieli robić lepiej księża amerykańscy.

P. Tupini nie mi nie odpowiedział na moje obiekcje, ponieważ, jak się okazało, nie widział filmu. Twierdził natomiast, że cechą charakterystyczną publicystyki włoskiej jest daleko posunięty liberalizm. Dowodem tego jest ukazywanie się ohydnych, antykatolickiego piśmiidła „Don Basilio” (w odpowiedzi na „Don Basilio”, wydawany jest bity tą samą czcionką, naśladujący „Don Basilio” rysunkami i nagłówkiem, równie ohydny i w swym dowcipie nieprzebiegający, antysowiecki, antykomunistyczny „L'on Pamfilio”).

Nie bardzo ten liberalizm rozumiem. Liberalizm nie ma dla mnie obrażanie religii, jakiegokolwiek religii, a zwłaszcza religii całego narodu. Lepiej to u nas zrozumiał w swoim czasie nawet „Głos Ludu”, niż szef propagandy włoskiej partii katolickiej.

## WŁOSKA DEMOKRACJA CHRZEŚCIJAŃSKA

Cytuję tę rozmowę, jako przykład, by podzielić się z czytelnikami wątpliwościami co do ogólnokościelnego charakteru włoskiej chrześcijańskiej Demokracji. Katolicyzm włoski podobnie jak i polski nie był do wojny własnością jednego tylko ugrupowania

politycznego. Zespolenie katolików w wielką partię dokonało się we włoskich pod wpływem konieczności z której to konieczności nie wszyscy u nas katolicy zdali sobie sprawę. Mam obawę, że we Włoszech tendencje polityczne przerosły przy akcji tworzenia się Ch. D. tendencje ideowe: powstałe partie będące negatywnym ugrupowaniem lewicowych, niezmiernie nieśmiałe w swych żądaniach, jeszcze bardziej nieśmiałe w swym programie społecznym. Radykalizm komunistów weszł na miejsce radykalizmu rządów faszystowskich. Wobec tego, że oba radykalizmy były wrogi, zaś trzeciego nie umiano znaleźć — Ch. D. cofnęło się na pozycje pewnego konserwatyzmu, zwłaszcza, że Ch. D. — jako partia rządząca — musi dbać o opinię amerykańskiego dyrygenta, ten zaś najmilej widzi tendencje passywistyczne. I znowu jeden z paradoksów włoskich! Im więcej Ch. D. zdobywa zaufanie amerykańców, tym więcej traci go w masach, im bliższa jest pożyczka amerykańska i poparcie amerykańskie w sprawie odzyskania bodaj części kolonii włoskich, tym pozycja wewnętrznie rządu jest bardziej chwiejna. Rzecz prosta, że jeżeli Ch. D. uzyska rzeczywistą pomoc amerykańską, przebaczoną jej będzie obecna bierność na odcinku polityki wewnętrznej. W przeciwnym razie nastąpi katastrofa i władzę będzie musiał do głosu jeden z radykalizmów włoskich: komunistyczny lub „qualinquistyczny”.

Z tym wszystkim Ch. D. wydaje się dziś bardziej partią zaufania amerykańców niż partią katolicką. Nie chodzi tu zresztą o współpracę polityczną z partiami ideologicznie odmiennymi. W tej sprawie — zdaniem najważniejszych przedstawicieli Ch. D. należy oprzeć się na wypowiedzi Ojca św. Piusa XII w przemówieniu w rocznicę 50-lecia encykliki „*Rerum Novarum*”. Natomiast obawiam się, że Ch. D. chcąc urobić sobie przewyższenie „amerykanów”, idzie na daleko idący liberalizm, rozciąga doktrynę katolicką, pozwala na stworzenie sugestii, że katolicyzm i amerykańizm to prawie jedno i to samo. Wracając do filmu „Paisà”: pozwala się aby widz drwił z włoskiego zakonnika, przeciwstawia się mu natomiast amerykańskiego księdza, który nie tylko okolicznościowo ale i ideologicznie uzgadnia swe stanowisko ze stanowiskiem przedstawicieli innych wyznań.

Problem nie jest wcale łatwy. Katolicy nie mogą uciec ze świata, muszą w nim żyć. A jeśli tak, to mają do wyboru albo współżycie z ludźmi bez wiary, bez religii, wyznającymi obcy całkowicie światopogląd, albo współżycie z ludźmi o obcej wierze, obcej religii, wyznającymi ten sam w korzeniach, lecz spazyczny, skrzywiony zliberalizowany światopogląd. Tertium — jak sądzę — non datur... O drodze którą trzeba wybrać zdecydować może tylko rozsądek lub wyraźne decyzje Stolicy Apostolskiej. Chodzi więc o to w jakim stopniu polityka Ch. D. popierana jest i uznawana przez Watykan.

Otóż trzeba zwrócić uwagę, że Ch. D. jest całkowicie partią katolików świeckich. Zgodnie z brzmieniem ostatnio zawartego konkordatu ksiądz włoski nie może być członkiem żadnej partii politycznej. Polityki w Rzy-

mnie nie robią księża, i nawet redaktorem „*Observatore Romano*” jest człowiek świecki: markiz de le Torre. Kościół posiada zresztą własną organizację typu społecznego, której brak się odczuwa w Polsce: Akcję katolicką. Za jej pośrednictwem wciąga świeckich ludzi do pracy wychowawczej. Jak mi się zdaje — ksiądz włoski ma więcej do roboty ze swoją parafią niż przeciętny ksiądz polski, ponieważ parafii jest więcej, kościołów jest więcej, nabożeństw jest więcej. Mam takie wrażenie, że poziom intelektualny przeciętnego księdza miejskiego (wiejskiego nie znam) włoskiego jest niższy niż przeciętnego polskiego. To wszystko nie predysponuje księży włoskich do roli polityków. Wyraźnie więc odcina się dziedzinę pracy na odcinku obrzędowo-wychowawczym od świeckiej pracy katolików prowadzących politykę katolicką.

Tym niemniej złudzeniem byłoby twierdzić że Kościół uchyla się od wywierania wpływu na politykę. Byłoby to żądaniem niepodobieństwa. Kościół jest odpowiedzialny za człowieka zawsze, nie ma dziedzin życia moralnie obojętnej. A już na pewno nie jest nią polityka. Kościół musi mieć możliwość krytykowania polityki państwa. I jeżeli li te politykę prowadzą ludzie uważający się za katolików, czujność Kościoła musi być dwukrotnie większa. Byłoby bowiem większym złem, gdyby polityka niekatolicka z ducha, była robiona rekoma katolików.

Uderzyło mnie, że nikt z kim rozmawiałem z duchowieństwa włoskiego nie wypowiadał się o Ch. D. entuzjastycznie (choć także nikt nie opowiadał o żadnym z przedstawicieli Ch. D. skandalicznych historii). Przedstawiciele Kościoła rozumieją niebawale trudną rolę tej partii. Rozumieją ciężar gry politycznej jaką Ch. D. musi rozegrać. Ponieważ są Włochami chcą odbudowy Włoch, muszą więc chcieć dalszych stosunków z Amerykanami. Ponieważ reprezentuje Kościół — nie mogą patrzeć bez lęku na ustępstwa, robione przez Ch. D. Dotychczas nie padł ani jeden głos potępiający liberalizm i nadmierną na nasz gust tolerancję, uprawianą przez rząd, którego premierem jest głowa katolickiej partii. Ale także nie padł ani jeden głos akceptacji polityki Ch. D.

## KOŚCIÓŁ

### I POLITYKA KATOLICKA

Kościół prowadzi politykę własną, niezależną od polityki Ch. D. Jest to polityka katolicka, gdy tamta jest polityka włoską. Prowadząc tę politykę, Kościół nie śpieszy się z potępieniem dróg działania katolików. Niewątpliwie, w obecnej chwili, wydaje się, że Watykan mniej obawia się materializmu liberalnego niż materializmu marksistowskiego. Tym niemniej jest to tylko tendencja, zaś w każdej polityce muszą być przynajmniej dwie przeciwstawne sobie tendencje.

Natomiast Kościół dąży do zrealizowania wielkich zadań historycznych, do których wykonania powołuje go chwila bieżąca. Manu uczucie, że w Watykanie istnieje świat domość, że wielkiego renesansu życia katolickiego dokonać już nie potrafi Europa. Katolicyzm europejski, tworzący jeszcze w dziedzinie myśli kato-

lickiej, ukazuje swoją słabość, jeżeli chodzi o odmianę życia. Beznadziejnie utknęliśmy na mieliznach życia ułatwionego i poszukiwaniu wygody. Ta dekadencja moralna spleca zresztą także tok myśli katolickiej. Jesteśmy już w małym tylko stopniu w ofensywie. Często myślimy o postawie defensywnej. Nerozwiązanym problemem stała się dla wielu taktyka: czy mamy iść z jednym błędem przeciwko drugiemu, czy z drugim przeciwko pierwszemu...

Lecz Kościół jest wieczny i jest Kościołem całej ludzkości. Ze swego stanowiska szukać zawsze będzie źródeł najcięższej dynamiki religijnej. I dziś zdaje się zwracać oczy ku narodom, na które także patrzą ostatnio z zachłanną łapczywością, jako na narody o największych możliwościach rozwojowych Stany Zjednoczone — ku narodom Ameryki Łacińskiej. Prawda że w życiu umysłowym świata katolickiego narody te nie odegrały dotychczas żadnej roli. Nie ludźmy się jednak, iż świat ocalić zdoła personalizm czy egzystencjalizm, humanizm czy realizm. Żaden z „izmów” świata nie ocali. Ocalić go może tylko i wyłącznie *wzmocnienie napięcia życia religijnego*, życia katolickiego. — Jego większa moralność, jego większa świętość. Światu potrzeba większej armii świętych.

Kraje Ameryki Południowej nie tylko są dziś krajami gospodarczo najzdrowszymi biologicznie w pełnym rozwoju. Są także krajami codziennej Komunii Świętej polityków, żołnierzy, ekonomistów, — kupców, przemysłowców...

Obok problemu południowo - amerykańskiego na horyzoncie polityki Kościoła istnieją wielkie zadania zająca się ludami kolorowymi. Ostatnio wojna doprowadziła do obrzymiej emancypacji narodów kolorowych. Skończyła się era kolonii. Biali wszędzie „stracili twarz”. To też gdy dotychczas misje prowadziły z zasady „białi, trzeba obecnie przejść całkowicie na misje prowadzone przez tubylców. Potrzeba dziś kolorowych księży, kolorowych zakonników. Potrzeba kolorowych świętych!

Po raz pierwszy pojawiła się możliwość ochrzczenia Japonii. Po przegranej wojnie runęła właściwie japońska religia boga - cesarza i bogarodu. Japonia zwątpiła w starych bogów. Powstały fermenty. Kto wie czy nie będziemy świadkami niebawego zjawiska przyjęcie prawdy jednocześnie przez cały naród.

Obok tych spraw dalekich, Watykan myśli także o sprawach życia wewnętrznego Kościoła. Złudzeniem, któremu ulegają ludzie krótkowzroczni jest przekonanie, iż Kościół już się nie rozwija, już ostatecznie określił swoje stanowisko we wszystkich sprawach. Wręcz przeciwnie. Duch Święty działa bez przerwy w Kościele, i Kościół pod Jego wpływem wzbogaca nieustannie swą wiedzę o drogach Bożych w życiu ludzkim. Istniejące dogmaty nie są dogmatami wszystkim. Z wiekiem ludzkość dorasta do zrozumienia nowych. Zapowiedziane na czas najbliższy kanonizacje bł. Ludwika Grignon de Monfort zdaje się mówić o pracach przygotowawczych podjętych nad sprecyzowaniem dogmatu o *wszechpośrednictwie* Matki Bożej we *wszystkich prośbach* ludzkich i we *wszystkich łaskach* ofiarowywanym ludziom. A kto wie czy już ten dogmat nie sprecyzuje także ostatecznie współzależności działania pomiędzy Maryją a Jej Boskim Oblubieńcem — Duchem Świętym.

Święci! Oni są żywym dowodem zwycięstwa prawdy Kościoła. Oni są także wcieleniem potrzeb chwili. Gdyby nie święci świat nie potrafiłby trwać. Są oni odważnikami na szali — odważnikami równoważącym w każdej chwili brzemień nieprawości świata. Dlatego im świat jest gorszy, tym więcej potrzebuje świętych.

To też w katedrze Świętego Piotra raz po raz odbywa się uroczystość wnoszenia do ołtarza nowego świętego. Chciałby zwrócić uwagę na dwie

## Prywatne Męskie Liceum i Gimnazjum

im. św. Stanisława Kostki w Kielcach

Kurii Diecezjalnej Kieleckiej

przyjmuje zapisy na nowy rok szkolny. Gmach szkolny

z internatem pięknie położony za miastem. Zgłoszenia

do Dyrekcji: Kielce, Źródłowa 17.

MARIA RODZIEWICZOWNA

ANIMA VILIS

str. 192 zł. 450.—

Księgarnia

ZDZISŁAW GUSTOWSKI

P O Z N A Ń

Wielka 10 Św. Marcin 34

nowe beatyfikacje. Jedną — to beatyfikacji w dniu 13 kwietnia Contardo Ferriniego, profesora uniwersytetu w Pawii i w Mediolanie, jednego z największych znawców prawa rzymskiego, jednego z największych naukowców ostatniej doby — a jednocześnie tercjarza franciszkańskiego. W osobie tego człowieka Kościół ukazał szalejącemu światu oczywistość iż prawdziwa nauka zawsze idzie w parze z prawdziwą religijnością. Ferrini zamknął i obalił złudzenie XIX wieku. Stał się patronem wiedzy XX wieku — tej

wiedzy, która może ocalić ludzkość a nie stać się dla niej katastrofą. A obok — beatyfikacje w dniu 27 kwietnia Marietty Goretti dwunastoletniej dziewczynki z Nettuno. Naszemu wiekowi nieczystości i szaleństw seksualnych, wiekowi życia ułatwionego, rozpadających się małżeństw, erotycznych zbrodni, dzieciobójstwa, świadomego macierzyństwa i świadomych poronień — Kościół pokazuje małą dziewczynkę, niebawem pobożności, opiekunkę swej zapracowanej matki — wdowy i rodzeństwa — dzie-

ka, które poniosło męczeńską śmierć w obronie czystości. Beatyfikacja Marietty jest czymś co wstrząsa. Nie na próżno brały w niej udział tysiące młodzieży, nie napróżno na trybunie po prawej stronie ołtarza zasiadł obok matki małej świętej — jej morderca Alessandro Serenelli... W jego osobie reprezentowany był nasz świat — świat młodego grzechu — świat który zabija świętość a potem czuje za nią nieugaszoną tęsknotę. Gdy się patrzy na Rzym z kopuły Świętego Piotra, czy bodaj ze schodów

katedry — gdy się widzi niezrównane w swej rozległości horyzonty — myśl ludzka odrywa się od problemów włoskich — czy bodaj nawet polskich. To są bowiem problemy duże i problemy małego kręgu — choćby nawet najukochańszego. Zaś ze schodów katedry — poprzez obelisk, fontanny i portyk Berniniego widzi się całą ludzkość. Ulegającą różnym prądom, ideom, tendencjom i pomysłom lecz tylko mogącą znaleźć pokój w szerokim, wiecznym kręgu Ecclesiae Militantis. Jan Dobraczyński.

**W świetle...**

**PRZEMÓWIENIE RADIOWE PIUSA XII**

Papież Pius XII wygłosił z okazji przypadającego święta swego patrona przemówienie radiowe, w którym potępia posługiwanie się metodami nieszczerości i gwałtu i apeluje o wprowadzenie na świecie porządku opartego na prawie i pokoju. Ojciec Święty powiedział: „Należy dążyć do tego by zapanował na świecie trwały pokój godny Boga i człowieka”.

**ODPREŻENIE WE FRANCJI**

**F**ALA strajków we Francji osiągnęła w ubiegłym tygodniu swój punkt kulminacyjny, obejmując pół milionową rzeszę kolejarzy. Rząd francuski wobec katastrofalnego sparalizowania komunikacji w całym kraju, podjął natychmiast energiczną akcję. W wyniku wielogodzinnej konferencji, w której poza premierem Ramadier i członkami rządu wzięli udział przedstawiciele C.G.T. (Związku Zawodowców), Zarządu kolei i Związku robotników kolejowych, strajk został zlikwidowany. Podpisano specjalną umowę na mocy której kolejarze przystąpili do pracy zarząd kolei zaś zobowiązał się wypełnić postulaty wysunięte przez strajkujących. Jednocześnie niemało zakończył się w Paryżu strajk pracowników gazowni i elektrowni. Wydaje się, że rząd Ramadier, pozwoli opanować sytuację. W każdym razie stanowisko premiera uległo zmianie jeśli chodzi o powrót do koncepcji koalicyjnej i wszelkie sugestie na temat powrotu ministrów komunistycznych nie wywołują żadnego oddźwięku.

**FRANCJA UMACNIA SIĘ W ZAGŁĘBIU SAARY**

**J**AK donosi prasa paryska, rząd francuski, poinformował rządy St. Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Z.S.R.R., że życzy sobie poczynić pewne zmiany w traktacie pokojowym przed ostatecznym ustaleniem granic Saary. Francja pragnie bowiem odłączyć od zagłębia miasta Saarbrücken z okolicami. Poza to rząd francuski planuje włączenie do prowincji Saary okręgu Waden, gdzie znajdują się znaczne skupiska górników francuskich. System gospodarczy okręgu Saary, naginany jest obecnie do wzorów francuskich. W ostatnich tygodniach przeprowadzono reformę walutową puszczając w obieg nową jednostkę monetarną Saarmark. Powyższe wiadomości świadczą, że Francja mocno gruntuje swą pozycję na dawnych terenach III-ej Rzeszy.

**CZY NASTAPI KRZYŻ GABINETOWY W AUSTRII**

**O**STATNIO zaznaczyły się silne fermenty w austriackich stosunkach wewnętrznych. Partia komunistyczna ostro atakuje ministra spraw zagranicznych dr. Grubera. Egzekutywa austriackiej partii socjalistycznej powzięła uchwałę domagającą się przeprowadzenia nowych wyborów. Kanclerz Figl przyjął przedstawiciela partii komunistycznej Fischera, który zreferował mu pogląd komunistów na obecną politykę rządową, podkreślając konieczność dokonania pewnych zmian w tonie gabinetu. Poza to partia komunistyczna domaga się ustąpienia Figla. W odpowiedzi kanclerz oświadczył stanowczo, że zrezygnuje z zajmowanego stanowiska jedynie na żądanie większości narodu. Również rozpisanie nowych wyborów uzależnia on w myśl konstytucji od woli ogółu obywateli. Niewątpliwie jesteśmy świadkami dopiero pierwszej fazy wewnętrznych rozgrywek politycznych w Austrii. Należy się liczyć ze wznowieniem żądań przez partie lewicowe i to zapewne w ostrzejszej formie.

**Zagadnienia i poglądy**

**Problem reformy uniwersytetów**

Wydaje się że tym razem „Kuznica” osiągnęła swój cel. Popychana wszelkimi sposobami dyskusja na temat reformy wyższych studiów i ograniczenia autonomii uniwersytetów osiągnęła chyba swój punkt kulminacyjny. Wypowiedź Włodzimierza Sokorskiego („Odrodzenie” — Nr 20), zapoznająca społeczeństwo z kierunkiem projektowanych reform zmusiła do zajęcia jasnego stanowiska wielu publicystów i naukowców. Zaobserwować się dają przy tym dwa zasadnicze stanowiska — zwolenników i przeciwników zmiany istniejącego stanu rzeczy. Ścisłej w dotychczasowych wypowiedziach nie ma pragnących utrzymać status quo. Na konieczność postawienia nauce polskiej nowych celów i szukania najlepszych dróg ich urzeczywistnienia zgadzają się wszyscy. Właściwa dyskusja przebiega po linii ustalenia kierunku zamierzonych zmian. Naczelnym stał się problem uzależnienia uczelni od administracji państwowej i związane z tym sprawa wolności nauki w stosunku do czynnika partyjno - politycznego.

Pisarze i publicyści marksistowscy zajmują jak zwykle stanowisko krańcowe. Zarówno Maurycy Jaroszyński („Kuznica” Nr 21, jak Stefan Jędrzejowski, tamże, Nr 24), walcząc w imię autarkicznych tendencji dążącej się rewolucji i szturmującego materialistycznego poglądu na świat, na którym rewolucja wyrosła, dążą do podporządkowania wyższych uczelni ministrowi oświaty, a nauki czynnikiem społecznemu. Publicyści ci idą tak daleko, że proponują przeniesienie decyzji w sprawie habilitacji i doktryzacji z senatów na ministerstwo oświaty, czy też zależne od niego ciało specjalne.

Zasadniczą odprawę tym poglądom z punktu widzenia odmienniej postawy ideowej dał w numerze 74 i 75 katolickiego „Słowa Powszechnego” Jan Frankowski. Wyjaśniając znaczenie marksizmu, jako doktry-

ny naukowej, autor artykułu „Istotny sens reform” wyraził wątpliwość czy obóz marksistowski rozporządza odpowiednią ilością naukowców, którymi można by zastąpić „reakcyjnych” profesorów. Wydaje się, że obawy Frankowskiego są co najmniej słuszne. Pamiętać trzeba by dążąc do uzdrowienia i odnowienia nauki polskiej, nie zastąpić zmęczonych wojną, ale jakże solidnie, ofiarnie i gruntownie pracujących naukowców polskich dyletantami.

Punktem szczytowym wypowiedzi w tych sprawach jest jednak niewątpliwie obszerna praca prof. Chałasińskiego zamieszczona w 24 numerze „Kuznicy”. Głęboka i niefałszowana troska o naukę polską, a jednocześnie pełne zrozumienie dla problematyki czasu przemian, kazały zwrócić na wymieniony artykuł baczniejszą uwagę. Prof. Chałasiński zajmuje się wszystkimi poruszanymi w dyskusji argumentami przemawiającymi za „monokratyzacją” i logicznie, punkt po punkcie rozprawia się z nimi. Oto kilka cy-

**W SPRAWIE MARTWOTY I IZOLACJI SPOŁECZNEJ UNIWERSYTETÓW**

„Stan ten (izolacji społecznej) będący wynikiem historycznych tradycji uniwersyteckich, polega na tym, że obecnie na skutek powojennego wyczerpania i zmęczenia polskich uczonych i profesorów. Ten drugi czynnik jest w martwocie polskich uniwersytetów ważniejszy, niż t. zw. „reakcyjność” uniwersytetów. Sześć lat wojennych nie było dopływem młodych sił naukowych, a równocześnie, z punktu widzenia biologiczno - psychologicznego, dla Polski sześć lat wojny to było o wiele więcej, niż sześć lat normalnego życia”.

**O WŁAŚCIWYCH DROGACH WPROWADZENIA NOWYCH IDEI DO NAUKI UNIWERSYTECKIEJ**

„Są dwie zasadnicze metody reform społecznych. Jedna, rewolucyjna, polega na tym, że nowa grupa polityczna zmienia ustrój w sposób gwałtowny i natychmiastowy. Ta metoda, nie rzadko konieczna, zmienia układ sił politycznych i umożliwia reformy społeczne. Sama przez się jednak metoda rewolucyjna ma skuteczność ograniczoną. Osiąga doraźne skutki polityczne. Nie realizuje jednak społecznych wartości demokracji. Przeciwnie, metoda ta stosowana bez ograniczenia prowadzi nieuchronnie do biurokratyzacji i unicestwienia w końcu społeczne cele rewolucji. W szczególności w zakresie urządzeń kulturalnych metoda ta ma wartość bardzo ograniczoną.

Drugą metodę można by nazwać eksperymentalną. Polega ona na tworzeniu nowych instytucji kulturalnych, które, będąc wyrazem no-

wych sił i ambicji społecznych, stają do rywalizacji z dawnymi instytucjami.

Na tej drodze powstawały różne instytucje kulturalne Europy. Na tej drodze powstało Collège de France we Francji w XVI w. jako wyraz nowych prądów humanizmu. Na tej drodze powstał także w połowie XIX stulecia Uniwersytet Londyński jako potężny czynnik modernizacji, intelektualizacji i demokratyzacji stosunków uniwersyteckich Anglii”.

„Nowa społeczna koncepcja uniwersytetu może się zrodzić tylko eksperymentalną metodą na drodze rywalizacji między uniwersytetami. To, co tak opornie kształtuje się w Łodzi, mimo najbardziej sprzyjających warunków, o których była mowa, nie dokona się od razu w stosunku do wszystkich uniwersytetów na drodze ustawodawczo - biurokratycznej, pod cudownym działaniem ustawy”.

„Nie znaczy to bynajmniej, by niepotrzebne były żadne zmiany w dotychczasowej ustawie akademickiej. Przeciwnie są one potrzebne. Wszystkie zmiany jednakże muszą mieć na uwadze zasadniczy fakt, że społeczny sens uniwersytetów, może być osiągnięty tylko przez uaktywnienie samych uniwersytetów. Ustawa musi służyć uaktywnieniu uniwersytetów, a nie temu, aby wykonać dzieło za uniwersytety i dla uniwersytetów, ale — bez uniwersytetów”.

„Naturalną jest jednak rzeczą, że na uniwersytecie student słyszy różne poglądy naukowe. Od tego jest uniwersytet, aby tak było. Student uniwersytetu powinien wiedzieć, że ta teoria, jak i wszelka inna teoria naukowa obowiązuje warunkowo”.

**OGRANICZENIE ROLI CZYNNIKA PARTYJNO - POLITYCZNEGO W SPRAWACH NAUKI I KULTURY**

„Ograniczanie do minimum biurokratyzacji, ograniczanie do minimum roli czynnika państwowego i partyjnego - politycznego w tej dziedzinie, którą potocznie nazywa się „kulturą, sztuką i nauką” jest nie tylko konieczne z punktu widzenia ostatecznego demokratycznego celu reform gospodarczych i politycznych. Ono jest także konieczne z punktu widzenia samego procesu demokratyzacji. Autonomia „kultury, sztuki i nauki” jest niezbędna dla demokracji właśnie jako dziedzina kształtowania się publicznej opinii. Bez takiej autonomii tych dziedzin nie może być opinii publicznej, a bez opinii publicznej — nie może być demokracji”.

„Tandetne habilitacje polityczne odbiły się nie tylko na nauce, lecz nie wyszłyby także na dobre zainteresowanym ruchom politycznym. Nauka rozwija się przez współzawodnictwo a nie przez dyplomy naukowe, zdobywane na pozanaukowej drodze. Obecnie kiedy pałką jest sprawa odnowienia personelu naukowego trzeba szukać takich form do szkolenia młodych ludzi, które by stwarzały możliwie najpeł-

niejsze bodźce maksymalizacji ambicji naukowych, a nie budziły niezdrowych ambicji robienia kariery naukowej na nienaukowej drodze. Obecna tendencja światowa do podporządkowania nauki sztabom generalnym i politycznym nosi w sobie znamię nie tylko szczytowej degeneracji nauki, lecz i głębokiego kryzysu cywilizowanej ludzkości”.

**ROZWIJAĆ NIE OGRANICZAĆ AUTONOMIĘ UNIWERSYTETÓW**

„Uniwersytety i wogóle organizacja nauki należą do tych dziedzin kultury, których autonomia winna wzrastać w miarę upaństwowienia życia ekonomicznego. Z punktu widzenia demokracji upaństwowienie ma sens o tyle, o ile ostatecznie służy pełnemu i swobodnemu rozwojowi kulturalnemu”.

**NIEWŁAŚCIWE METODY MOBILIZOWANIA OPINII PUBLICZNEJ**

„Dlaczego poważne pisma drukują takie artykuły, które nie przyczyniają się do krystalizowania opinii intelektualnej, lecz pogłębiają chaos, mnożąc zarzuty faszystowskiej sympatii nauki polskiej”.

„Jest rzeczą bardzo pożądaną, aby studenci wypowiadali swoje poglądy na temat wykładów i uniwersytetu, jest rzeczą pożądaną, aby zabierali głos w sprawach publicznych. Nie tylko profesorowie wychowują młodzież, ale i młodzież wychowuje swoich profesorów. W demokracji stosunków na wyższych uczelniach studenci mają do wypełnienia olbrzymią rolę. Potępiać jednak należy przeszczepianie na nasz grunt hitlerowskich form denuncjacji”.

„Groźna jest dla nas także owa nieżyczliwość codzienna, która zatruwa życie polskie. Ten rys jest niepokojący w wypowiedziach studentów, którzy bezmyślnie i bezpodstawnie oskarżają o faszyzm swoich profesorów, pomniejszając ten kapitał, jaki młodzież i młodość w każdym pokoleniu wnoszą zawsze do życia uniwersytetu i całego narodu — nieoceniony kapitał ludzkiej życzliwości”.

**WŁAŚCIWA WARTOŚĆ NAUKI**

„Wartość nauki dla demokracji polega nie na dogmatycznym propagowaniu jakiejś jednej teorii naukowej, lecz na krytycznej metodzie myślenia naukowego, która usuwa bezkompromisowość dogmatycznych stanowisk”.

W sprawie autonomii szkół wyższych w Polsce i niezawisłości nauki, której istotą jest przecież poszukiwanie prawdy, a nie tworzenie recept, nie mówiąc już o ich przyjmowaniu, zabiorą zapewne głos i inni naukowcy polscy. Ujawnienia zdania tych, którzy „mają być” znacjonalizowani jest konieczne. Na razie jednak wypowiedź prof. Chałasińskiego jest najpoważniejszą pozycją obrony zagrożonych placówek i miejmy nadzieję, że nie pozostanie bez echa.

**KATECHIZM**

najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży

**Ks. dr Win. Helenowski**  
Gostyni 1. wojew. Warszawskie

**TABELE PODATKOWE p. t.:**

**„Jak obliczać podatki”**

dochodowy, od wynagrodzeń, obrotowy, podatki za zwłokę, koszty egzekucyjne, opłaty stempowe, terminy płatności, zgodne z obowiązującym ustawodawstwem podatkowym za rok 1947

**SKŁAD GŁÓWNY**  
Księgarnia  
ZDZISŁAW GUSTOWSKI  
Poznań, Wielka 10  
Św. Marcina 34  
Cena 50,— zł.

JAKĄZ OLBRZYMA jest różnica w stosunku do autora, gdy czyta my tylko jedną z jego książek i wtedy, gdy stajemy wobec całej jego twórczości, wobec całego, choćby jeszcze nie zamkniętego doboru! W pierwszym wypadku nasze doznania są jakby skalkulowane, w drugim — naturalne na wszystkie jego możliwości. W pierwszym — ambicja porównania. Ta ambicja nie jest zachwalstwem. Miara, jaką krytyk przynosi, jest w końcu osobistą miarą i nie można na nią nie brać odpowiedzialności. Krawiec, biorąc miarę na kosiufem, jest w stanie powoływać się na konwencję mody, na smak z „żurnala”. Krytyk, choćby posługiwał się nawet nie skontrolowanymi konwencjami, bierze za nie najwyższą, bo osobistą odpowiedzialność. Bez wątpienia, winogrona nie rosną na ostach i część tego orędzia, które autor posyła światu, nie zostanie podjęta. Podjęte może być to tylko, co w jakimś sposobie grafia w doświadczenia, w kulturę czytelników. W to, co oni już wiedzą, czego się domyślają. W tym właśnie sensie Siendziel nie pisał dla swoich współczesnych i czekał czytelników, którzy się dopiero rodzi li.

Omawiając jedną powieść, krytyk jest niejako skrepowany wyborem autora. Czuję, że mówiąc o tym, czego w powieści nie ma, robi tylko dygresje, nie może wytaczać procesu werbalnego. Jego głównym zadaniem jest wedy ustalenie, co książka wnosi odrębnego i nowego w dzisiejszość literacką. Wobec całej twórczości krytyk jest wyzwany na pojedynek: ma prawo wyboru miejsca spotkania i prawo wyboru broni. Nie zwraca uwagi tylko na dzisiejszość, rozpatruje dzieło w czasie pomyślanym, szuka, co z niego ma wartość długiego pozostawiania, co zostanie przekazane krążeniu w potomnych. Szuka przede wszystkim architektury tej twórczości, pewnego porządku, który ją kształtuje. Dwie są formy tego porządku: styl jako kształt zewnętrzny i architektura wewnętrzna dzieła, to, co stanowi jego myślową i moralną istotę. Sądzi się często, że styl to jest właśnie człowiek, to jest właśnie pisarz. Styl jako psychologiczny wzór osobowości może mieć jednak wartość tylko przybliżenia, nie daje żadnej ścisłości pomiaru. Można osiągnąć poprawność, nawet doskonałość stylu na drodze ćwiczenia. Styl jako rzemiosło jest wartością literacką, która może być zupełnie pozbawiona wymowy psychologicznej, która mogłaby prowadzić błędnym tropem, gdyby ktoś z niej chciał wyprowadzać wnioski psychologicznej natury. Pojęcie rzemiosła nie zawiera żadnej nagany, oznacza techniczny charakter umiejętności, którą się nabywa, nie mając jej jednak z inspiracji. Zachodzi wyraźna różnica między umiejętnością techniczną a inspiracją. Pierwsza jest nabyta, oznacza wprawę, możliwość posługiwania się czymś jako narzędziem. Inspiracja daje pełne opamiętanie, zaciera różnice między narzędziem a tym, który się narzędziem posługuje. Styl jako rzemiosło mówi o pracowitości pisarza, o wladomej dyscyplinie, jaką sobie potrafił nałożyć. Nie mówi nie więcej i dlatego daje portret niepełny, ciemny zarys głowy... Oczywiście, to rozróżnienie jest teoretyczne i orientacyjne. W praktyce procesy te nie mają tak czystego stopnia krystalizacji i podziału ról.

Styl Nałkowskiej wydaje się wypracowanym narzędziem. Mistrzowie plastyki tacy jak Dürer czy jak Perugino stali na pograniczu rzemiosła i natchnienia. Prawdziwy rzemieślnik nie dba tylko o użytkową stronę rzeczy. Użytkowość walczy w jego wytworze z natchnieniem artystycznym, z kuczem piękna. Piękno tutaj znajduje jedno ze swych naturalnych źródeł: po zaspokojeniu potrzeby prymitywnej i, powiedzmy, banalnej, jest jeszcze jakiś wysiłek ludzki, który nie

jest już banalny i nie jest nawet konieczny, aby zaspokoić wymagania utrzymującego się życia. Jest czymś ponadto, romantyc mówili — wzlotem duszy. Ta naiwna metafora jest jednym z niewielu rekwizytów romantycznego muzeum, które nie porosły rdzą w latach realizmu. Język Nałkowskiej służy przede wszystkim wyrażeniu sytuacji, w drugiej kolejności wyrażeniu myśli. Autorka stara się, aby nie był patetyczny, aby nie odwracał i nie rozpraszał uwagi. Ambicją tego stylu jest realistyczne trzymanie się pobliża sprawy, jaką się omawia. I pogłębienie jej, znalezienie złozonego środka między prostotą łatwo dostępną i prośotą, która nie nie zgubi z zapasu, która ma w słowie oszczędny, bez piętrowej metafory, wyrazie conajmniej dwa znaczenia. Dwa znaczenia, czy raczej dwie warstwy znaczeń, język „Niedobrej miłości” niech służy za dowód: wewnętrzna jego warstwa zawiera prawdę artystyczną, która wystarczy najsłabszemu realizmowi. Dla czytelnika bardziej wybrednego jest przeznaczony sens ukryty każdej z tych obserwacji, każdego z pojedynczych słów. Ten sens, zresztą specjalnie nie zamaskowany, odsłania tę samą prawdę, tylko głębiej, u korzenia. W jej bardziej skomplikowanym charakterze.

Droga rozwojowa stylu Nałkowskiej zmierza od neoromantycznego tonu „Księża” przez natchnienie młodopolskie z tomu nowel „Kocetka czyli białe tulipany” do tej prozy, która jest w „Domu nad łakami” i w „Chocoes”. Jak u Iwaszkiewicza, prosty styl Nałkowskiej jest osiągnięty i to stanowi jego intelektualną kwalifikację. Prostota prymitywu wiedzy tylko ma literackie uzasadnienie, kiedy — jak w epoce romantycznej ballady ludowej — przynosi zupełnie świeży powiew, gdy okupuje się poruszeniem zupełnie nowego tonu. Pod tym względem mawrot do gwary chłopskiej w niektórych utworach z przed 1939 r. nie wnosił nic nowego... Język potoczny i realizmu często jest po prostu nużący jak niedzielne popołudnie na ulicy małego miasteczka, gdzie wszyscy się znają i znają nawet celebrytów ubiór odległych sąsiadów. Potrzeba nam trochę soli attykującej, trochę powieści, które się pamięta dłużej niż fragmenty akcji. Wiedzieli o tym wielcy mistrzowie — Balzac i Flaubert. Pan Dambreuse, który gotów był zapłacić, aby się sprzedać, pozostanie pamiętny właśnie przez to określenie.

Język Nałkowskiej nie dostarcza tych gwałtownych wzruszeń, jakie daje język Żeromskiego. Jeżeli ceni się jednak tak wysoko jej styl, rozumiejąc zresztą jak bardzo odrębne i nie do naśladowania jest psalmistyczne krasomówstwo autora „Popiołów”, to z uwagi na fakt, że realizm językowy właśnie potrzebny jest prozie, że daje jej granicę w stosunku do poezji. Nie zasłania widoczności na temat, jaki omawia, nie wdziara się w wyobraźnię czytelnika. Najlepszym językiem prozy jest język, który nie zwraca na siebie zbyt często uwagi. Pozwala czytelnikowi zająć się sobą dopiero tam, gdzie pisarz chce rzucić akord, gdzie chce wzmożnić znaczenie. Wtedy język się staje jak kreska atramentowa, użyta do podkreślenia słowa w rękopisie. Język prozy raczej wolny być powinien od eksperymentów. Eksperyment staje się przygodą poetycką przez swój charakter wynalazku. Wynalazczość dobrej prozy pozostaje w kuchni autorskiej, nie podaje się jej na stół. Nawet bardzo dobre wielkanocne ciasto powinno się gościom dawać bez przepisu. Jedyną cechą monotoni, zresztą nie rażącej, w języku „Niedobrej miłości” stanowi powtarzanie się niedomówień. Nie domówienie płynie u Nałkowskiej z tendencji do oszczędności słowa, ale i z chęci zaprawiania czytelnika, z chęci zwrócenia jego uwagi na drugą, ukrytą warstwę znaczeń. Jest to efekt

Włodzimierz Pietrzak (Bałk)

# REFLEKSJE NAD TWÓR

typowo retoryczny. Język ten jest suchy, operuje wyrafinowaniem intelektualnym, apeluje do namiętności intelektu, nie do namiętności uczucia. Jego podkład jest bardziej prawniczy niż filozoficzny przez omijanie synonimów, przez nacisk na szerególną wyrażność każdego faktu, przez ostrożność w stosunku do uogólnień, na które autorka pozwala sobie w drodze niejako przemytu. Mają najczęściej formę epigramatu i są lapidarnym zamknięciem bogatego analitycznego materiału. Cechą zasadniczą utworów Nałkowskiej, poza „Niecierpliwymi”, jest to, że są causées. Są napisane w ten sposób, jakby przedtem było powiedziane w małym gronie dobrze rozumiejących się osób, które cenią dokładność szczegółu, drobiazgową staranność obserwacji, ale którym nie trzeba, może dzięki temu właśnie, wykladać znaczeń uuczuciowych. Jeżeli można mówić o laboratoriach pisarzy, utwory Nałkowskiej powstały w atmosferze cénacles.

2.

Przez wewnętrzną architektonikę twórczości literackiej rozumieć należałoby ten spiók zagadnień, które stanowią sekretny temat każdej twórczości, które pochłaniają przede wszystkim uwagę pisarza. Stanowią one geometrię twórczości, świat pisarza, od równości tej geometrii jest kwestią do śladownictwa i epigoistwa. Wyrazistość tych linii stanowi o sile pisarza, o jego klimacie. Innymi słowy, jest to stosunek do świata otaczającego, problem postawy.

U Zieli Nałkowskiej zwraca uwagę w pierwszym rzędzie siła i znaczenie obserwacji w jej pisarstwie. Nie tylko w sensie artystycznym — nie wiem, czy kłopotliwie z naszych pisarzy rozporządzał w tym stopniu o autorka „Ganicy” szerególną władzą analizy rzeczywistości, która pozwala każde zjawisko widzieć właśnie jako coś osobnego, mającego właśnie i nie powtarzalne rysy. Ta miłośniczka zwierząt — czy to chodzi o konie w konkursach, czy o psa Fitka z podwórza — domyśla się w zwierzętach wszystkiego: ambicji, nastrojów, stanów psychozy. Nie, nie domyśla się. Nałkowska śledzi i potem już rozumie. Jej zwierzęta mają naprawdę duszę, są istotami zindywidualizowanymi do ostateczności. Inaczej było ze zwierzętami w „Godach życia” Dyzsińskiego: tam występował gatunek, ale nie zindywidualizowany osobnik. Nałkowska ma niesłychaną siłę inscenizacji z szerególną — jej drzewo nie jest zieloną plamą, lecz liśćmi, konarami, gałązkami.

Przyroda jest u niej ilustracją drugiego planu, nie wyznaczając „Domu nad łakami”. Ilustracja, pozbawiona cech niedbałości, zrobiona ze starannością genuziny. To też przyroda u Nałkowskiej nie daje tych wagnerowskich efektów co u Żeromskiego ani nie jest chopinizmem jak u Iwaszkiewicza. Jest raczej efektem malarskim. „Jakże tu było pięknie — w tym gaju, całym z liści, gdzie oto zaczynały już śpiewać głośno słowiki i kwitło tyle konwalii, że ich zapach wisił w ciemnym powietrzu jak biała mgła” — oto obraz, przyprowadzający myśl o doskonałej widzialności świata.

A jednak pragnienie, które gorączką przejmowało Dostojewskiego, aby powiedział o sobie wszystko, aby nie ukryć nic, co się uważa za tajemnicze, wstydlive lub wręcz upokarzające, jest jej obecne. Literackie plotkarstwo Nałkowskiej jest dyskretne. Dla odsłonięcia ludzkiego wnętrza autorka „Niedobrej miłości” nie użyje skalpela, nie dokona cięcia. Bada czołowieka po jego ruchach, po przypad-

kowych słowach, które zdradzają więcej niż się chciało powiedzieć. Nie zmusza swoich postaci do monologów tragicznych ani do spowiedzi. Mimo to, jej ogrom wiedzy o ludziach jest zdumiewający. Justyna, Mania Siesławska, generał Nimota i jego żona, Gondził, Marcja, szewc Włó, rodzina Dziobaków, gdzie uprawiano tybetańskie praktyki w zakresie wędrowki dusz — są galerią z teatru, wyraźną przede wszystkim w gestach, w drobnych odruchach, w pomyślach i kapryśkach. Dwie są racje tej metody pisarskiej: unikanie właściwego romantyzmu oratorstwa oraz wzmożona potrzeba zmysłowej aktualizacji świata. Poprzez zmianę, poprzez działanie się, utwierdza w sobie Nałkowska wiarę w istnienie bytu. Był w jej oczach nie istnieje, objawia się tylko — i wtedy może być chwytany, demaskowany. Inaczej było u romantyków, aż po Żeromskiego: dla nich byt był czymś istniejącym, co się dawało opowiedzieć, wypowiedzieć, dla nich świat był tematem dla symfonicznego utworu. W tym utworze oni, autorzy, wysuwali się na pierwszy plan, wyręczałi swoich bohaterów, na kazywali im działać, przemawiali za nich. Nałkowska ogranicza się do ram reżyserii, chce zniknąć — zgodnie z tradycjami smaku Flauberta i Goncourtów poza dziełem, przecina, na ile to jest możliwe, psychologiczne kable między swoimi postaciami a sobą. Chciałaby, aby byli samodzielnymi literacko, aby myśląc o nich czytelnik nie potrzebował co chwilę wyzywać na pomoc sylwetki autora. Ten zamiar artystyczny się do pewnych granic udaje. Jeżeli nie udaje się całkowicie, przyczyna leży w dość szerególniej koncepcji charakteru i człowieka u tej pisarki. Nałkowska nie wierzy w istnienie charakteru — człowiek jest dla niej kępka możliwości niezorganizowanych, które po kolei odpadają w życiu jako właśnie niemożliwe do wykorzystania. Obucując z innymi, człowiek określa siebie, określa własny charakter przez innych ludzi, oni narzucają ostateczną możliwość. Byłby inny, gdyby żył w innym otoczeniu — oto nawias, gdzie się nawraca do rozważań o zaniku bohatera. Świat Nałkowskiej nie jest bynajmniej statyczny, przeciwnie, jego istotą jest stawanie się, zmiana. Motory spawcze działania leżą poza obrębem jej osób, na dobrą sprawę —

nie wiadomo nawet gdzie. Kuźnia Wulkana tego teatru będzie pokazana dopiero w „Niecierpliwych”. W sprawie między Renatą a Bliźborem, Justyną a Zenonem wystąpią ślepe siły motywności, które Zenon próbuje sprowadzić do schematu, w czym zresztą Nałkowska mu przeszkadza. Nałkowska bowiem nie znosi schematu przez rodzaj partii prós i z tym przeciwstawia się analizie moralistów z XVIII w., zawdzięczając im jednak punkty wyjścia. Żadna z jej figur nie żyje w inspiracji, z pomysłu. Korzystają one z podpatrzonego materiału autentycznego, zbierają żniwa z obserwacji autorki.

Już wczesne utwory Nałkowskiej wskazują, że dla niej ważna jest przede wszystkim ludzka indywidualność. „Jestem dla siebie — pisze Nałkowska w noweli „Motywy” ze zbioru „Tajemnice krwi” — jedynym instrumentem poznania świata, jedynym organem zachwytu i miłości. Stąd najważniejszą sprawą staje się dla mnie własna dusza moja i poprzez nią każda dusza człowieka. Stała się dla mnie jakby gwiazdą, w której znajdują przecięcie wszystkie dające się pomyśleć noce ziemi i nieba”. Ciężkie, że pisarce, urzeczeni krystalizacją społeczną, dają portrety indywidualności, kierowanych wola, podległych własnemu pragnieniu, portrety ludzi, kierowanych energią. Natomiast ci, dla których ważny jest nie obraz spraw i manieryści, lecz ludzkie, ale właśnie indywidualny przekrój tych zjawisk, wyjawienie ich zawziętości — traktują indywidualność jako pewną niewyznaczoną z góry możliwość — i nie wierzą w energię, nie wierzą w historyczny moment życia. W „Sodomie i Gomorze”, może najefektowniej swojej powieści, pisał Proust, że analiza charakterów, dokonywana w świetle statycznym, jest niepełna, że brakuje jej czegoś — właśnie zmiany, właśnie tego, że człowiek w środowisku społecznym czy towarzyskim ciągle zmienia swe wartości, że znaczący zmienia się stosunek innych ludzi do niego. Można powiedzieć, że zmianie ulega nie tylko ten stosunek, lecz że zmienia się przede wszystkim sam człowiek i że o charakterze należy mówić jako o rozwoju pewnych dyspozycji wrodzonych i w jakimś momencie życia uświadomionych. Bez tego momentu historycznego można

Marek Antoni Wasilewski

## Partyzantka

Trawy uczesane w przedziałek  
Rozchylają nam drogę do zmierzchu,  
Las zalamuje ręce galezi  
Ponad głowami leszczyn.  
Dzień owija się łachmanem mroku,  
Iglizwie miłkko poddane stopom  
Taj ciszą nasz krok.  
Przebudził się ból zmęczonych nóg  
Wspomnieniem prostej ławy.  
Krok za krokiem — las,  
Krok za krokiem — zarość,  
Krok za krokiem — świt.  
Idziemy kolysząc broń,  
Na brwiach niesiemy gwizd,  
W sercu niesiemy słusność,  
W brzuchu niesiemy głód.  
Poziomka słońca różowieje pod krzakami jałowca.  
Wleczemy się drogą wolności  
Przez las,  
Przez rosę,  
Przez chłód i zmęczenie.  
Tam dalej, wzniesiemy nam znany krajobraz,  
Jak drzwi przed nosem żebraka.

# CZOŚCIĄ NAŁKOWSKIEJ

tworząc aforyzmy o człowieku, lecz nie można dać o nim tego, co byłoby wiedzą moralną.

Dla Nałkowskiej ostatnim ludzkim oporem wobec świata nie jest energia ani bynajmniej intelekt, lecz uczucie. Wszyscy jej ludzie są zakłeci w swe trwanie psychologiczne, w swoje biologiczne odczucie świata — zawsze oddzielne, zawsze pojedyncze. Współżycie z drugim człowiekiem jest dla tych postaci trudną kwilibrystyką, rodzajem psychicznej akrobacji. W olbrzymich ścianach świata nie doznaje się wcale więcej niż w swoim własnym świecie, mniej szonym w proporcjach, lecz dostatecznie usprawiedliwionym: bo taka jest jedyna droga do przeżywania praw wiecznoludzkich. Choć Nałkowska jest przekonana o wartości intelektu, nie należy z niej robić demona intelektu. Autorka „Charakterów” wie, że wartość inteligencji zależy od wewnętrznej powiązania z istotą życia uczuciowego, że myśl jest cenna wtedy, gdy odpowiada jej najgłębsze nakazy instynktu, bez których nie jest prawdą. W „Hr. Emilu” zawiera się potępienie smakowania we własnym niedołęstwie, traktowanie go jako symptomatu psychicznego arystokratyzmu i dostojństwa — niewątpliwie pogłos Bezowskiego i zarazem potępienie poetyckiego bohatera Młodej Polski.

Ta jedna zbieżność nie oznacza, aby Nałkowska wywodziła się z Brzozowskiego. Człowiek Brzozowski stoi wobec historii, czyni dla niego narzędziem wdarcia się w historię i opanowania rzeczywistości. Człowiek Nałkowskiej nie ma nic innego jak siebie, taka jest jedyna jego prawda. Wiara w ideę jest dla osób Nałkowskiej zakrywaniem oczu na rzeczywistość. „Aby się urzeczywistnić — mówi Lila w „Romansie Teresy Hennret” — idea musi się siebie zaprzeć, wchodzi w życie tylko za cenę spodlenia... Stać przy idei, która się zrealizowała, można tylko z rękami w błocie, albo z rękami we krwi”. A w „Tajemnicach krwi” — „kiedy idea chce umrzeć; wtedy tęskni do czynu”. Ojcem przybranym Nałkowskiej jest Settembrini z „Góry Czarodziejkiej”, dla niej organem poznania nie jest wiara, lecz także nie czyste poznanie umysłowe. Nigdy nie zgodziłaby się z Naftą, że nie należy ulgać naturze jako mocy nieświadomej. Jej punktem

wyjścia jest „nieuprzedzone” poznanie i zapewne zgodziłaby się z Settembrinim, że jednostka, prawo i wolność są od czasów renesansu filarami kultury i humanizmu, a jeśli już mówić o celach społecznych, moralność indywidualna odwołuje się do celów wyższych niż państwo, niż moralność grupy. Z wypowiedzi Nałkowskiej można odtworzyć niesformułowaną tęsknotę do społeczności utopijnej, do społeczności braterstwa ludów. Jest to tęsknota, w którą Nałkowska sama nie wierzy, którą zakrywa ironią. Milknący pogłos ideałów schyłku XIX w., ideałów Settembriniego, który nie zdołał na tyle wychować Hansa Castorpa, aby mógł go powstrzymać przed pójściem do okopów. Tej tęsknoty przyświeca dewiza „będziemy więcej jeszcze jak ludźmi”.

W zestawieniu Bóg i Ojczyzna jedna z jej postaci dostrzega przeciwieństwo: Bóg godzi i jednoczy, ojczyzna dzieli, przywraca politeizm, każdy naród walczący powołuje dla siebie swego Boga, tworzy się wielobóstwo, wrogość bogów i ludów. Ludzi łączy nie szczęście, lecz niebezpieczeństwo i rozpacz. Wojna wykazuje — rozważa Nałkowska w „Tajemnicach krwi”, jak potężnym cementem jest wspólna nienawiść; bierze w siebie to, co już przedtem było gotowe: dzikość, nędzę, ciępienie i śmierć.

Obraz to niewątpliwie pesymistyczny. Nie dalszego od prawdy, jak łatwy optymizm, jak kokietowanie zuchwałstwem, ta ofiara gęby, jedyna ofiara, do której skłonne jest wszelkie filisterstwo. Filister żyje od czasów zamierzających, jego drzewem genealogicznym jest założenie, że wystarczy słowny popis przed opinią, nie zaś sam wysiłek, zapowiedź, nie spełnienie. A tymczasem wysiłek może się chyć bez zapowiedzi, bez słowa, bez patosu. Nie może się obyć tylko bez spełnienia.

Settembrini mylił się jednak. Nie indywidualność sama przez się jest cenna, a cenne jest to, co ona daje. To, co w oczach wierzącego chrześcijanina daje mu zbawienie, co w oczach laickich stanowi motyw kultury. Nałkowska słusznie podnosi kształtującą rolę środowiska, przesadza jednak jego znaczenie. Środowisko niewątpliwie wpływa na człowieka, przekształca go, lecz nie ma władzy, aby tworzyć go całkowicie. Wszelka zbiorowość nie jest bytem absolutnym.

Jest tworzona przez jednostki, choć stanowi coś więcej, niż ich arytmetyczną sumę. Środowisko jest miejscem, w którym jednostka działa i organem, dzięki któremu się rozwija, dzięki któremu pomnaża swą moc i poprzez który możliwa jest wogóle twórczość. Twórczość człowieka, który jako niemowle byłby wyrzucony na odludną wyspę i na niej się wychowałby, byłaby niemożliwa. Więcej, ten twór utraciłby humanistyczne znamie człowieczeństwa. Robinson wylądował na wyspie już z tradycje człowieczeństwa, to znaczy zapatrzonej w pewną sumę doświadczeń, ujętą w ramy cywilizacji. Istotą warunków społecznych nie jest ten stan, że ludzie obok siebie istnieją, lecz, że współżyją, że sobie nawzajem coś dają, że wymieniają między sobą wartości duchowe i materialne.

Ojczyzny wcale nie przeczą Bogu, jeżeli myśleć historycznie, a nie powodować się utopijną społecznością Rousseau. Filozof genewski dowodził, że istniał złoty wiek harmonii naturalnej, który został wypaczony przez partycy polityków, że wystarczy więc nawrócić do tych prastarych dobrych czasów. Mniejsza już o błąd perspektywy w tym założeniu. Wszyscy starcy skłonni są wierzyć w złoty wiek własnej młodości, który przeciwstawiają gorzkim doświadczeniom nowego czasu, czasu, jaki przestają już rozumieć.

Istotą stosunków społecznych i istotą natury jest walka. Walkę można pojmować jako starcie doraźnych interesów, liczących się z pożytkiem utylitarnym, i wtedy trzeba powtórzyć za Leo Naftą, że prawdą jest to, co pożyteczne człowiekowi. Kiedy w ostatecznej instancji rozstrzygać będzie siła i w takim świecie przy idei zwycięskiej stać wypadnie nieraz z nogami w błocie i rekoma we krwi. Możliwe jest jednak i inne dialektyczne pojmowanie walki — jako ścieranie się dwu przeciwstawnych zasad, nie interesów. To starcie daje w wyniku zwycięstwo zasady słuszniejszej, czerpiącej przy tym w zasadzie pokorniejszej wszystkie słuszne elementy, aby przetworzyć się w zasadę całkowicie nową, pochodną. W konflikcie między jednostką a zbiorowością słuszność będzie zawsze po stronie jednostki, gdy chodzi o jej zbawienie, czy jeśli kto woli, o jej rozwój osobisty. Po stronie zbiorowości, gdy chodzi o cele ogólne, Bóg i ojczyzna jako pojęcia w tym właśnie sensie nie nadają się, aby były przeciwstawiane. Istotą Boga jest niezmienność. Pojęcie ojczyzny nie wykazuje tych cech absolutnych. Pojęcie narodu, pojęcie geograficzne ojczyzny zmieniało się w ciągu wojen. W dobie Polanda ojczyzną był okrąg dzisiejszego powiatu. Dla nas ojczyzną są ziemie, które jednoczy z takim trudem nasza historia. Być może, że ta ewolucja nie jest zamknięta. Każda nowa zasada wyłania się z walki i dlatego i braterstwo ludów właśnie z walki tylko może się narodzić, z oporu dzikości i cierpienia. Nie można myśleć nie uwzględniając zasady historycznej, jeśli się chce, aby myślenie było twarde koniecznością, a nie smakowaniem w kokieterii.

3.

„Hrabia Emil” jak nade wszystko „Romans Teresy Hennret” pozwalają ustalić gatunek zainteresowania, jakie w Nałkowskiej budziła polska ówczesna rzeczywistość. Obie te powieści jak później „Niedobra miłość” i „Granicz” — są skomponowane w dwu planach. Jednym z nich są perypetie osobiste osób utworu, drugim — zagadnienia społeczne, które w „Romansie” zdecydowanie wysuwają się na czoło powieści, w „Granicz” stanowią

już wątek uboczny. W problematyce społecznej u Nałkowskiej nie ma miejsca na imperatyw społeczny. Robiąc odсылkę do pierwszego rozdziału książki Ernsta Kretschmera „Ludzie Genialni”, można się wyrazić, że imperatyw społeczny rodził się na tle pewnej neurozy, na tle niepokoju sumienia. Literatura dwudziestolecia po Żeromskim, a od Kadena, ma sumienie spokojne i nie objawia żadnych urazów nerwowych, żadnych stanów psychopatycznych, które by rodziły mogły atmosferę dla imperatywu społecznego. Powstaje w stanie równowagi i nasycenia odradzająca się rzeczywistością niepodległości. Samo największe nawet wydarzenie historyczne nie jest dostatecznym bodźcem dla pisarzy. Od rewolucji 1792 poprzez epokę Napoleona milkną muzy we Francji. Wielcy pisarze odeszli w epokę już uspokojonej, lecz za te nasyconej tamym czasem, przepojonej jego spadkiem. Nie wielkie wydarzenia tworzy bowiem grunt pod literaturę, lecz nastrój psychiczny społeczeństwa, klimat wzburzenia i porwy, wiary lub rozterki, zmęczenia i nasycenia, lub niepokoju i woli przemiany.

Żeromski zostawił w „Przedwiośniu” i „Wisła” testament imperatywu. Literatura go nie podjęła. Kadenc zajął się analizą problemu władzy, Iwaszkiewicz starał się wykazać dlaczego do podjęcia testamentu Żeromskiego jego pokolenie nie jest powołane. Nałkowska wreszcie zgłosiła protest przeciw stylowi czasu, przeciw życiu, w którym się nie wielkiego nie dzieje, które jest administrowane i oschłe, jak urzędowy okólnik. W jej utworach kierownicy pokolenia, które dobiło się niepodległości, odwracają głowę wstecz, ku czasom burzliwej młodości i żyją wewnętrznie nadal tamtym wspomnieniem — jak przytłumionym marzeniem. Wspomnienie nie wskrzesza przeszłości, jest marzeniem o przeszłości, budową czegoś, co nie jest już tym samym, bo brak mu spełnienia. W teraźniejszości to pokolenie, które uważało siebie za zwycięskie, pilnowało, aby życie toczyło się możliwie bez wstrząsów. Jak woźnica, który prowadzi konie jedną ręką, a drugą opiera się o poręcz, aby wygodniej obrócić się za siebie. Wtedy zaprzęg zwalnia i woźnicy to odpowiada. Toczyący się powoli wóz, istnieje nadzieja, nie tak łatwo zatoczy się na wybojach i nie tak łatwo wpadnie do rowu. Protest Nałkowskiej jest silniejszy w stosunku do światła, niż w części pozytywnej, niż we własnej propozycji i dlatego właśnie Nałkowska jest tak daleko od krystalizacji społecznej. Krystalizacja społeczna nie jest dla niej jak dla Kadena jedynym możliwym stosunkiem do świata. Pisząc o zagadnieniach, Nałkowska nigdy nie widzi ludzi, masy, lecz zawsze jednego człowieka. Niewątpliwie, taka jest właściwość literatury, zgoda, że się pisze o jednym człowieku. A jednak, jest właściwością szczególną tej pisarki, że zagadnienie każde jest dla niej przede wszystkim czymś indywidualnym kłopotem, dodajmy zresztą, kłopotem moralnym. Nałkowska szuka w każdym zagadnieniu tego piętna odrębności indywidualności. Zagadnienie obchodzi ją dopiero jako czyjś osobisty problem, nie jako abstrakcja.

Istotą abstrakcji jest to, że nie jest przez nikogo uoziwiowo przeżyta, że nie ma do niej własnego uczuciowego stosunku. Nałkowska zna zakres swej kompetencji; jest to obszar indywidualnego przeżycia. Polska — pisała Nałkowska — leży na krzyżownicy smaków europejskich. Jej dusza jest jednocześnie reprezentantką rafinowanej kultury na wschód i egoistycznego barbarzyństwa na zachód.

Stąd skłonność do przejmowania cudzych wartości, do naśladownictwa, owo pawiem narodów byłaś i papuga. Jedyną możliwością wyjścia z tego rozstaju byłoby samookreślenie: królestwo za definicję, za formułę, za

indywidualność. Oto wzór metody Nałkowskiej, przykład jej analitycznych skłonności. Gdzieśindziej — pisze autorka „Romansu” — przewyższa się cechy lokalne życia i sztuki na rzecz form wyższych, ogólnoludzkich i dopiero sposoby tego przewyższania są właśnie mimowoli narodowe. U nas postulat jest właśnie odrębność narodowa jako dogmat”.

Biorąc sprawę przez pryzmat socjologii kultury, naród nie jest bynajmniej tworem o charakterze absolutnym, metafizycznym, lecz uzasadnionym historycznie, historycznie zmiennym. Jest geopolityczną formą duchowego i materialnego współżycia. Nacisk na jego odrębność, nacisk ciężnie opierający się o momenty metafizyczne, tam w historii występuje guzle naród nie jest jeszcze duchowo szalony i gdzie widzi przed sobą zadania nie tylko defensywne, lecz i ofensywne. Dlatego można mówić nie bez racji o młodości i starości narodów. Nie samo tylko położenie w braniu między wschodem a zachodem powoduje w nas konieczność ustalania granic naszej odrębności, lecz okoliczność, że krótko mówiąc, jako naród nie wypełniliśmy jeszcze naszego zadania. Europejskiej kultury w jej zachodniej formie nie przyjmujemy się na kredyt. Udział w niej uzyskuje się przez własne działanie, a więc przez odrębność. Gdybyśmy jako naród nie przyjęli formy, wytworzonej w Paryżu, czy Londynie, byłibyśmy właśnie pawiem i papugą tamtych ludów i tamtej kultury. Udział nasz w kulturze europejskiej musi być okupiony własnym dorobkiem, nie rezerwacją.

Dwudziestolecie, zapatrzone w młł Zachodu, nie zrozumielo jaką drogą się do tych form dochodzi, choć Brzozowski napisał w tym względzie tyle przestrogi! Odpowiedzialność za to spada na pokolenie generała Barcza, a więc i na Ninotę, i na Walewicza, równie jak na Niewieskiego, Tczewskich i Osienieckich. To jest rzecz zasadnicza: w historii odpowiada się nie tylko za postęp, lecz i za zaniechanie, za zaniedbanie.

Pokolenie generała Barcza, stwierdza Nałkowska, przestało brać na serio własne stanowisko ideowe. Uległo powszechnemu wówczas odplywowi ideologii — nie dlatego, że programy nie sprostały życiu, że nastąpił jakiś cudowny rozrost rzeczywistości. Przeciwnie, powojenna rzeczywistość europejska wydaje się bardziej jeszcze bezradna, niż dobry świat z przed 1914 r. Ginie w niej wigra w szczęście. Człowiek powojenny — to jest Rufin w „Charakterów”, który nie może ustalić swego stosunku do świata, co więcej — nie może ustalić własnego mniemania o sobie, choć każde zjawisko widzi ze wszystkich stron. Ten świat stanął w miejscu. Stać w miejscu, w historii znaczy tyle, co się cofać.

Nałkowskiej jednak nie o ten zarzut chodzi. Jej zarzuty w stronę kierowników pokolenia płyną nie z apriorycznych stanowisk, a z obserwacji chcieliby się powiedzieć autentycznych. Nałkowskiej chodzi o to, że ludzie ci zdradzili rewolucyjny ideał swego okresu burzy i naporu, że stali się oportunistami. Walewicz równie jak Ninota są syci i bez pragnień. Sterują, lecz szlak okrętu został zgłogę przybrzeżną. Zagadnienie idei stało się dla nich tylko problemem władzy lub zakurzoną pamiątką, jak w wypadku Słuczańskiego, człowieka, który nie umiał skorzystać. Wyrzucił Nałkowskiej, w tonie nie namiętny, lecz w sformułowaniu ostry i niechętnie słuchający usprawiedliwień, jest wyrzutem moralnym, jest załamaniem rąk.

Nałkowska nie afirmuje rzeczywistości, wypełnionej machinacjami Hennretów, dożywaniem zasług jak u Walewicza, obnoszeniem pustego manifestu Tczewskich. Jest głucha na skargi Osienieckich, że Rzeczpospolita

## stracenicow

Liście muskają nam oczy,  
Liście mamy na oczach,  
Liście padają na twarz.  
Ci już nie dojdą.  
Idziemy drogą wolności,  
Przez własne miasta i wsie,  
Padamy twarzą w igliwie,  
Mrówki gryzą trupy.  
Koledzy idą naprzód, szepcząc wielkie słowo,  
Fatamorganę narodu.  
Dajcie nam pić!  
Jest strumień.  
Dajcie nam jeść!  
Są grzyby.  
Pistolety odgniatają nam biodra.  
Idziemy zapatrzeni w wolność,  
Fatamorganę narodu.  
Za nami mrok,  
Przed nami świat.  
Za nami mrok,  
Przed nami świat.  
Ciągłe! — Fatamorgana...

ich wydziedzicza i krzywdzi. Jej stanowisko jest stanowiskiem serca, które opowiada się przeciw krzywdzie prawdziwej, przeciw krzywdzie Gołębskich, ludzi suteryn z „Granic” przeciw śmiertelnej niedoli „Ścian świat”. Sztuka Nałkowskiej jest wyrazem rozczarowania wobec tej rzeczywistości w jakiej należało żyć i w jakiej należało działać w Polsce po roku 1920. Rozczarowanie po odzyskaniu niepodległości było w Polsce równie powszechne, jak niezawasne głębokie. Jedni byli rozczarowani, ponieważ koniunktury gospodarcze w

zmienionej Europie uległy zakłóceniu i trudniej było zarabiać, bądź utrzymać się z miesięcznej pensji niż w dobrym świecie z przed 1914 r. Inni spodziewali się wszystkiego, chcieli realizacji prorocत्व Mickiewicza. Rzeczywistość była inna, wznosiła się na ruinach, to prawda, lecz za mało w niej świadomości tego, czego należy dokonać, za dużo rozradowania niefrasobliwego, jakiego w „Romansie Teresy” wcieleniem był pan Nutka, bądź pełne persyflaży wyznanie Wandy Hennertówny, że Polska jest właśnie taka, jaką może być.

Można powiedzieć ze słusnością, że rozczarowanie Nałkowskiej jest bezradne. Świadczy o tym niedorysowana i niezupełnie wyrazista postać porucznika Lina. O ile tego młodego człowieka przewyższa Cezary Baryka — jako postać literacka i jako wyraz świadomości społecznej. Świadczy o tym koncepcja młodego Andrzeja Laterny, porzucona w połowie, bez tej wielkiej odwagi pisarskiej, którą tu była na miejscu, odwagi konsekwencji jeszcze dalszych, jeszcze bardziej ostatecznych. Wątek Laterny zamienia się w wątek z po-

wieści sensacyjnej. Zamiast dramatu, mamy tylko fragment z powieści szpiegowskiej, a prosił się tutaj sam o pióro format jakiejś „Zbrodni i kary”. Świadectwem bezradności jest tubeczność wątku społecznego w „Granic”. Podebrak, Gołębski, Borbocli — ten świat protestu i nowej rewolucji — trzymany jest tutaj na granicy widzialności, nieledwie jak lożka w powieściach Freusta, gdzie ambicją Guermantów jest nie dostrzeżenie duszy swych sługaczy. Poza panem de Charlus, ale Palamedą obcho-dziła też nie dusza, a co innego. Ziem-

biewicz z „Granic”, człowiek nowego pokolenia, jest już oportunistą pur-sang. Czechliński, który ma pieniądze i stosunki, przekonywuje go nie wewnątrz, bo Ziembiewicz zdaje sobie sprawę ze swej redaktorskiej nicości, przekonywuje go na tyle, ile wystarczy, aby robić karierę. Ziembiewicz nie ma nic do powiedzenia pokoleniu Niewieskich — nie takiego, co by się im przeciwstawiło. Poszedł na pomoc silniejszemu, jakby powiedział Chamfort.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

## Tydzień kulturalny

### MEGALOMANIA I SPRAWY POWAŻNE

Członek zespołu „Kuznicy”, autor dwóch książek p. Kazimierz Brandys, pisząc felieton o dobrym i budzącym żywe echa artykule Skierskiego, pisze o autorze artykułu per „autor” bez wymienienia jego nazwiska. Jakiś autor! P. Brandys piszący o Skierskim tonem protekcyjnym. Można i tak.

Sama sprawa jest jednak poważna, choć właściwie nie nowa. W ostatnich czasach nabrała nawet charakteru niemal dramatycznego: czy pisarz musi być koniecznym urzędnikiem, aby móc żyć? Uważamy, że Z. Z. L. P. wraz z departamentem literatury sprawy nie tylko na żadnym odcinku nie załatwił, ale na domiar złego przetrzął haniebnie jeśli chodzi o podatek dochodowy. Ostatecznie stało na tym, iż pisarz zarabia tylko w skali rocznej i nie uznaje się, iż mógłby coś na lata nletwórcze kapitalizować. Urzędy skarbowe bawią się żądając odcen wykazywania „miesięcznego” obrotu, natomiast żaden urząd nie pomyślał o tym, iż pisarz warszawski nie posiada swego... mieszkania.

Zdaniem naszym pisarz musi móc żyć ze swej pracy i musi mieć tyle, by móc ciągle — bez gorączkowego pośpiechu — tworzyć. Książki powinny wychodzić w dużych nakładach, natomiast powinny być tanie — zależy to od przydziału papieru, jego taniłość, oraz niskiej ceny druku. Tani papier i tani druk pozwolą wydawcy dobrze płacić autorowi — boć przecież książka musi się wydawcy opłacić. Pisarz — ciągle naszym zdaniem — nie powinien żądać od państwa, aby go utrzymywało, chyba gdy jest już w wieku nie-twórcozym, natomiast, aby zdobył sobie należyte usługi na polu artystycznym.

Temat jest poważny i warto nad nim podyskutować. Chcielibyśmy jednak usłyszeć coś ciekawszego niż felietoniki p. Brandysa. I niech by zabrał głos ktoś bardziej kompetentny, np. wiceprezes ZGZZLP p. Żółkiewski, albo sekretarz — p. Żuławski.

### LOTNISKO NA CYRLI

Po Zakopanem rozeszła się pogłoska, że na Cyrli ma być wybudowane lotnisko. Pocieszamy się, że to tylko plotka. Nie bardzo rozumiemy potrzeby budowania lotniska obok Zakopanego, ale jeśli już taka potrzeba istnieje, to lotnisko można zbudować gdzieś koło Białego Dunajca czy Nowego Targu. Z tej odległości hałas motorów nie zaszkodzi już ciszy tatrzańskiemu, inaczej rzecz by się miała, gdyby lotnisko miało się naprawdę pojawić na Cyrli. Z Cyrli każdy dźwięk zapuszczanego motoru byłby słyszalny nawet w dolinie Pięciu Stawów. Chyba dość już hałasów sprawianych przez niezliczone auta „ciągnące” do Morskiego Oka lub horendalną kolejkę na Kasprowy. Dość „cywilizowania” gór, polegającego na napędzaniu do nich ludzi, którzy góry zamieniają na bekowisko.

Lotnisko lotniskiem — a jak się przedstawia sprawa stworzenia polsko - czeskiego parku narodowego?

### O SENSUS CATHOLICUS

Znakomity pisarz i dramaturg katolicki, Jerzy Zawieyski, którego sztuka „Rozdroże miłości” cieszy się w Krakowie niesłabnącym powodzeniem, opublikował na łamach „Tygodnika Powszechnego” essay na temat pisarstwa katolickiego. Problem literatury katolickiej stał się palącym zagadnieniem współczesnym i to dość ważkim w dzisiejszych czasach, nie też dziwnego, że poświęcił mu uwagę jeden z wybitniejszych przedstawicieli tej literatury. „Obierzmy jakąś główną zasadę naszego zagadnienia — pisze Zawieyski — Z płaszczyzny katolickości pisarza wejźmy na płaszczyznę katolicyzmu w ogóle, jako religii i jako filozofii. Wyliminujmy też z pola naszego widzenia literaturę dewocyjną, poczciwie tendencyjną, kandydacko - zdobniczą. Miejmy na uwadze sztukę pisarską, czyli bezsporne fakty artystyczne i szukajmy dla nich katolickiego znaku rozpoznawczego. Wsuńmy tezę, że tym znakiem rozpoznawczym będzie nie motyw, nie temat, lecz coś co mogłoby mieć nazwę sensus catholicus, nazwę zapożyczoną z języka tomistycznego”.

Następnie Zawieyski rozważając problem istnienia owego sensus catholicus i stwierdzając, że sensus catholicus odnosi się do samego pisarza i apeluje do niego o znajomość doktryny katolicyzmu we wszelkich jej rozgałęzieniach, dochodzi do przekonania, że „główną sprawą, na której wspiera się sensus catholicus dzieła literackiego — jest sprawa stosunku człowieka do Boga i do życia; z literackiego dzieła katolickiego zawsze musi wynikać sens filozoficzny i moralny, zgodny z doktryną katolicyzmu”.

Postawienie tego problemu przez Zawieyskiego w sposób głęboki i wnikliwy, niewątpliwie poszerza zakres działalności literackiej pisarza katolickiego i jego zadania. W tym ujęciu pisarstwa katolickiego może śmiało wedrzeć się we wszelkie przejawy życia, choćby najprzekraczające i ukazać nam ich ostateczny sens. Takie ujęcie pisarstwa katolickiego w swej wykładni rozszerzającej całkowicie, pokrywa się z pojęciem literatury katolickiej jako narzędzia walki o prawdy Kościoła Walczącego, literatura Katolicka zyskuje jak najszersze pole do działania.

### „Z NARODEM” RYMKIEWICZA

Nakładem Wydawnictwa „Panteon” ukazała się książka poetyczka Aleksandra Rymkiewicza, poety wyszłego z grupy wileńskiej „Zagary”, zatytułowana „Z narodem”. Jest to zbiór wierszy z lat 1939 — 1945. Niedawno publikowaliśmy na naszych łamach fragmenty doskonałego poematu Rymkiewicza „Błękitny step”, który wchodzi w skład tomu, a obecnie sygnalizujemy ukazanie się zbioru, który niewątpliwie jest wydarzeniem artystycznym dużej miary.

### MINKIEWICZ I „GAZETA LUDOWA”

Otrzymaliśmy następujący komunikat, który podajemy w całości i bez komentarzy:

„W Nr. 111 „Gazety Ludowej” z dn. 29.IV.1947 r. w kolumnie literackiej, redagowanej przez członka ZZLP, St. Dzikowskiego, ukazała się niepodpisana notatka, w której zawarte są aluzje na temat niewłaściwego zachowania się w czasie okupacji członka ZZLP, Janusza Minkiewicza. Znajdują się w niej również zarzuty pod adresem Zarządu Głównego Zw. Zaw. Literatów Polskich, który jakoby sprawę Minkiewicza przemilczał.”

Zarząd Główny oświadcza, że członek ZZLP, Janusz Minkiewicz został w roku 1945 przez tymczasowy Zarząd ZZLP, zweryfikowany.

Wobec zarzutów pod adresem Zarządu Głównego umieszczonych w kolumnie literackiej, którą redagu-

je członek ZZLP, St. Dzikowski, Zarząd Główny postanowił skierować sprawę tych zarzutów do Sądu Koleżeńskiego”.

### Prezydium Zarządu Głównego Z.Z.L.P.

### REKOLEKCJE DLA NAUCZYCIELSTWA

Od dnia 28 lipca do dnia 1 sierpnia br. odbędą się w Trzebnicy rekolekcje dla nauczycieli, urządzone przez Administrację Apostolską Dolnego Śląska. W dniach od 4 sierpnia do 8 sierpnia rekolekcje zostaną powtórzone, a w dniach 21 lipca do 25 lipca oraz 25 sierpnia do 29 sierpnia odbędą się konferencje rekolekcyjne dla nauczycieli.

### BIBLIOTHECA CARMELITANA

Jako tom 21 Biblioteki Karmelickiej ukazała się książka ks. H. Weryńskiego p. t. „O nowe ognie Ducha św.”. Jest to zbiór artykułów, informacji i materiałów objaśniających tak bardzo nam nieznan-

kuł Ducha św. Książka jest więc pozycją cenną, pojawia się w sam czas.

Jeden z artykułów książki napisany jest przez prof. Karola Adama. To nam przypomina sprawę wołania o szybkie nowe wydanie „Istoty katolicyzmu”. Książka jest niezwykle potrzebna! Czyż tego „Albertinum” nie czuje.

### „DZIEJE GŁUPOTY” W OGNIU DYKUSJI

W wrze bieżącym drukujemy recenzję z Dziejów Głupoty, pióra znanego historyka prof. Stefana Kieniewicza. Recenzja raczej niechętna, co jest o tyle zrozumiałym, że książka Bocheńskiego stanowi w pierwszym rzędzie (jak to odrazu Kieniewicza. W jednym z następnych numerów „Dziś i Jutro”, czytelnicy nasi będą mieli możliwość zaznajomienia się z krytyką tego samego dzieła, pisaną z innych punktów widzenia.

## Ewa Bandrowska-Turska w Romie

3 czerwca Ewa Bandrowska - Turska, przy wypełnionej sali Remy (po wino było około czterech milionów docho-du) odnosiła łatwe triuny. Bardzo łatwo! Nietrudno jest tej miary artystce oczarować melomanów, którzy od siedmiu lat, ba, od dziesięciu, nie mają możliwości usłyszeć dobrego śpiewu, ludzkiego głosu, który się za nią stesknił, za nią oświadczył.

Bandrowska - Turska... Niezłoty jej zawdźwięczam. Kto wie, czy nie wszystkim. Czy artysta, ucziwy artysta, zdaje sobie sprawę ze swej siły? Czy przypuszcza, że jeden jego występ może natchnąć młodego odbiorcę zupełnie nowym życiem, pełnym do życia wyższego i piękniejszego w zupełnie inny świat.

Po raz pierwszy słyszałem ją lat temu dziesięć lat. W Wielkim, na katarskiej operze Verdiego „Trubadur”. Chyba najbardziej to katarska opera tego katarskiego. A jednak... Wtedy właśnie po raz pierwszy wykroczyłem w zaczerpniętym, nadzwyczajnym królestwie muzyki. A to dzięki Bandrowskiej. Bo miała ona (po dziś dzień ma) tę właściwość, co i Midas — że najbliższą piosenkę, arie, bzdurkę nawet, zamieniała (w swoich ustach) w najcenniejszą. Wyszędłem wtedy z siebie, straciłem poczucie rzeczywistości, śmiałem się i płakałem zatopiony w jej notewie. Byłem szczęśliwym całkowicie, na 4-tych piętrze w 4-tych rzędzie.

Tak zostałem wprowadzony w muzykę. Od tej pory zacząłem chodzić na poranki, czasem na koncerty płatowe i tam podobne chwile przeżywałem słuchając Mozarta, Beethovena i wielkich klasyków, którym słuchałem wtedy doznawać niemożliwość. Z czasem zacząłem czuć Bacha, ostatnio jednak przekładałem nad niego Haendla, który jest jeszcze bardziej natetyczny i wzniosły niż mówić, lub o większej świeżości, bogactwie i oryginalności natchnienia.

Ale nie opuszczałem też żadnego występu Bandrowskiej w operze, a to wtedy zdarzało się jeżeli nie codziennie, to przynajmniej trzy razy w tygodniu. Z czasem opera podpadała, Bandrowska przestała prawie w niej śpiewać, nie wiem czemu. Intruzi? Klepska płaca? Jeździła zagranicę, czasem czasem wystąpiła gościnnie. Byłem wściekły z tego powodu, ale zawsze uważałem, dotąd uważam, że nie ma na świecie takiej drugiej śpiewaczki. Oczywiście dla mnie oświadczył. I zachowałem dla niej, oprócz podziwu, głęboką wdzięczność za wprowadzenie mnie w muzykę, w piękno, w poezję.

Toteż na ostatni występ mojej prymadonny szedłem z ciekawością i podnieceniem. Oczekiwałem przeżycia artystycznego najwyższego stopnia.

Byłem pewny, że Bandrowska przez te 15 lat rozwinęła nie tylko swój głos, ale i umiejętności techniczne, że pogłębiła, poszerzyła swój artystyczny stosunek do śpiewu nabrał powagi, godności i wzniosłości.

Niestety, spotkał mnie zawód, zawód holesny, upakarzający. Bandrowska śpiewa dziś znacznie gorzej, niż piętnaście lat temu. Niezawodnie tak, choć do tej oceny przyczynia się zapewne i to, że jest ona w pierwszym rzędzie przypadkowa, śpiewaczka operowa, nie estradowa, że posiadając wrodzone zdolności i zamiłowania aktorskie, więcej może włożyć duszy, poezji w śpiew sceniczny, niż estradowy, gdzie brak tych podmiot psychicznych. Również fatalna akustyka Romy niewiele stosunkowo zaważyła na efekcie, bo nośny, olbrzymi głos śpiewaczki równie dobrze brzmi w tym kinie, jak panował nad orkiestrą i chórami opery.

Fatalna rzeczą u Bandrowskiej jest, że dotąd nie poznała siebie, swych możliwości. POCO się upiera przy koloraturze, kiedy jej nie ma? Śpiewaczka czysto liryczna, nawszkroś dramatyczna, więcej może dać słuchaczom z siebie pożytku i więcej triumfu odniesie, gdy się będzie trzymała liryki i dramatu. Czyż nie są one zresztą, ogólnie rzecz biorąc, bardziej poważne, dostojne, treściwie, niż płochy, powierzchowny, często cyrkowy tylko akrobacja koloratury. Poważna i uroczą koloraturę umieli tworzyć tylko klasycy. Niestety, Bandrowska ich nie uznaje, nie lubi. Tu leży chyba przyczyna tego, że przez tych 15 lat cofnęła się, zamiast posunąć. Nie tak, jak jej rywalka, Ada Sari, która mając znacznie mniejsze możliwości, znacznie lichszy głos, zostawiła ją na miejscu dzieki poważnej pracy, ćwiczeniu, obiektywnemu dobowi repertuaru, wnikliwej analizie, dostosowaniu się do swych możliwości.

Otóż to. Stosunek Bandrowskiej-Turskiej do śpiewu nie jest poważny. Chodzi jej o sukces, o łatwy, demagogiczny sukces. Wybiera sobie Szymanowskiego „Pieśni Roksany”, której jest niewiele, wybiera sobie Palestrę „Echo”, w którym nie ma nic. Dlaczego? Bo w takim nie jej głos będzie wszystkim. To samo jest z resztą repertuaru, który miał zawierać „najpiękniejsze arie i pieśni”, a zawierał chyba najgorsze z dopuszczalnych na poważnym koncercie. Stosunkowo najlepiej wypadł „El Vito”, ale lepiej to śpiewała pewna kabaretowa śpiewaczka. Jaka poważna artystka będzie odgrzewać Liszt'a, którego aż trzy utwory śpiewała, zresztą żnośnie, Bandrowska? Czy Bizet'a, albo Ravel'a? Sama lichota. Fatalny błąd. I czemu

to wy tłumaczyć, skoro Bandrowska ma nie tylko niezwykły głos, ale i niezwykłą inteligencję muzyczną? Tylko próżność, czy pycha, która nie pozwala śpiewaczce na uznanie pierwszeństwa muzyki przed głosem, na przyjęcie pokornej postawy instrumentu, w który się wkłada całą duszę, by z czcią oddać ziemięską treść, jaką kompozytor włożył w swe dzieło. Tylko przyjęcie takiej postawy umożliwi dobór poważnego repertuaru i daje siłę do pracy, by go godnie przekazać słuchaczom. Rozkosz jest spotkać takiego artystę. Oprócz Sari spotkałem w Paryżu Landowską, której też zawdźwięczam wiele i która mnie pouczyła, czym powinien być poważny artysta. Umilowanie muzyki, nie siebie, całą duszą i poważną pracą nad sobą. Aż rozpacz ogarnia, bo Bandrowska jest tylko najwidoczniejszą przedstawicielką ogólnej postawy polskiego śpiewaka. Wyjątkiem był Bender, ale tego już nie ma na świecie.

Muszę jednak przyznać, że były momenty, w których czułem dawną poezję, szczerść, dawną duszę Bandrowskiej. Były to momenty rzadkie w ciągu całego koncertu, ale były. Więc jeszcze nie zaginęły. Szczególnie dobrze wypadły oczywiście, śpiewała na bis, arie, tak dobrze mi znane w jej wykonaniu z „Hrabiny” i „Casanova”. O właśnie. Liryka i dramat. I opera, gra, przeżycie pozamuzyczne, które u Bandrowskiej potęguje ekspresję.

Tak, reasumując, należy obiektywnie dobierać repertuar. Nie to co się podoba, ale to, co ma rzeczywistą wartość muzyczną. Nie to, co będzie tłem dla głosu, co będzie swoją niższością, podkreślając jego wartość. Zdaje się, że taką rolę odgrywał i akompaniator. Gdzież to się podziała Szamotulska, która przez dłuższy czas tak doskonale harmonizowała ze śpiewem Bandrowskiej? Czy przypadkiem o horror, nie była za dobrą akompaniatorką?

Jakąby to była uczta, gdyby nam Bandrowska zaśpiewała arie Konstancji, coś z oratoriów Haendla itp. klasycznego. Tymczasem nieledwie kabaret. Ale Bandrowska może jeszcze śpiewać 20 — 30 lat. Może jeszcze spoważnieć. No — i czemu tak mało śpiewa dla Polaków? Czy ze względów finansowych? Przecież artyści nie opłacają żadne pieniądze, to i tak nie ma co o tym myśleć. Śpiewać jest dla artysty obowiązkiem natury i religii, a żyć gorzej czy lepiej będzie napewno do śmierci.



Stanisław Podlewski

# Przemarsz przez piekło <sup>7)</sup>

## Ostatnie chwile Starego Miasta

Naras z przejmującym jękiem posypały się na ziemię szyby. Potężne salwy rozniosły się po salach. Czołgi — padły meldunki z różnych stron. Jan chwycił za granat i dużymi krokami sadził pierwszy na pierwsze piętro, za nim jego przyjaciel kpt. Gryf, dowódca saperów w grupowaniu, który stracił rękę przy próbowaniu granatów, podziemnej produkcji.

Rzut jego okazał się niezawodny. Dym. Płonienie.

Pierwszy zdobyty czołg przypadł jemu w udziale.

Najpiękniejsze wyczyny bojowe zgrupowania „Broda 53”, na Woli i w staromiejskiej dzielnicy, wzbudzające podziw, przypisać należy jemu. Promienny i mocny człowiek, nierównany wychowawca, posagowa postać oficera. W bogatej galerii podziemnych ludzi i powstańców dowódców, zajmujący bezsprzecznie jedno z pierwszych miejsc.

Jak zawsze uśmiechnięty, rozdający szczerze radość i wiarę był jakoś niespokojny. Tego ostatniego wieczoru na kwatery na Koźlej zapytywała go Basia:

— Kaj, jaka jest sytuacja?

— Beznadziejna.

— A nasze przebiecie?

— To się nie uda, to się nie uda... powtarzał.

### NAPRZECIW KOŚCIOŁA ŚW. ANTONIEGO

Tymczasem Trzaska, przebiegając schyłony przez gruz, widzi z dala śmierć mjr. Jana i całego pocztu.

Uzmysławia sobie teraz wszystko. Jest już zorientowany. Obecność Jana wskazuje na to, że do akcji ruszyła reszta lewego skrzydła, grupa szturmowa batalionu „Zośka”.

Postępowała ona widocznie tą samą trasą, którą przebył pluton Wigierzyków. Mieli niejako już urotowaną drogę! Dało im to możliwość przejścia bez większych strat. Jest już widno. Trzaska zatrzymał się w załomie murów, chce sobie założyć opatrunek na rękę. Naraz słyszy znajomy głos, poznaje sylwetkę — to por. Jerzy, widocznie i on już dostał w nogi, bo trochę utyka.

Widzi, jak daje mu znak, aby za nim biegł, po chwili ginie w jakimś podwórzu. Naraz silny wybuch zwała z nog Snicę, lecz ten szybko podrywa się z ziemi. Z głowy broczy mu krew, lecz zapewne nie czuje. Biegnie dalej. Dopada do Senatorskiej. Choć przejść domami równoległe do ulicy, lecz okazuje się to niemożliwe. Tymczasem Trzaska dochodzi do jakiejś grupy powstańców w ruinach domów na Senatorskiej. Musi odpocząć.

Wygląda z okna kamienicy. Naprzeciw widać omentarz przy kościele św. Antoniego. Stare akacje o ciemnych, jak gdyby poskręcanych pniach i wysokie strzeliste nadwiślańskie topele zachowały świeżość liści. Błyszczą w słońcu i lekko kołyszą się ich wierzchołki. Na środku cmentarza wyrasta wielki krzyż. Czarny osmalony Chrystus rozłożył szeroko ramiona, jak gdyby ich chciał ogarnąć. Tuż nad samym murem stoi figura Matki Najświętszej.

Przedziwna cisza letniego, świeżego poranku, a tak przeraźliwie — obojętna.

Najbliższe leży kruzgankę, wiodący do świątyni. Na jego poddaszu w latach konspiracji ukryte były miotacze ognia Armii Krajowej. W pierwszych dniach powstania część z nich odebrali od wzruszonego starego proboszcza, ks. Stanisława Trzeciaka — ppułk. Wilk (Biernacki) i kpt. Nałęcz (Kaniowski Stefan), z Korpusu Bezpieczeństwa, świetny żołnierz i dowódca.

### TERAZ PROWADZI POR. JERZY

Teraz Trzaska się orientuje, że jest to grupa około 60 ludzi z batalionu „Zośka”. Wszyscy niemal są ranni. Spod bandażu sączy się krew, siłą woli trzymają się na nogach. Twarze zapadłe, ściągnięte, mundury w strzępach. Trzaska dowiadyuje się, że w pobliskiej bramie leży ranny ppor. Morro, jego uczeń z „Agrikoli”, dowódca kompanii „Rudy”.

Idzie do niego. Wygląda strasznie. Dostał postrzał karabinowy w nasadę nosa — ma krwawo przeoraną twarz. Sanitariuszka Lidka (Daniszewska Lidia) robi mu sprawnie opatrunek \*).

Do tego samego miejsca kuśtyka por. Jerzy, który dowodzi teraz w tej grupie. Wydaje rozkaz, aby ubezpieczyć się od Bielańskiej i Tłomackiego. Dowiadyuje się od Trzaski, jak zginął mjr. Jan. Ogarnia wszystkich ogromny żal i jak gdyby konsternacja. Stoją bezradni. Dostrzegają to Morro.

— Nie ma na co czekać — rzuca ostro, trzeba coś postanowić.

Teraz Jerzy obejmuje inicjatywę. Zwołuje wszystkich dowódców, wyjaśnia sytuację, w lakonicznych słowach kreśli położenie własne i nieprzyjaciela. Nie nie wskazuje, aby inne powstańcze oddziały mogły posuwać się za nimi. Uderzą na kościół św. Antoniego, stamtąd dostaną się do ruin pałacu Zamoyskich, poza tym przez ogród Saski, Palmiarnię i przez ruiny gmachu Giełdy dotrą do Królewskiej i Zielnej, tam już barykady trzymają nasi.

Teraz Słoń i Drzazga (Radomski Jerzy) wykonują skok na drugą stronę ulicy do kościoła św. Antoniego. Pada kilka strzałów. Niemcy zaskoczeni wiewą w największej panice w sąsiednie budynki.

Po chwili Słoń krzyczy po przez ulicę: Kościół wolny! Skok dużej grupki ludzi w biały dzień przez całą szerokość ulicy jest bardzo ryzykowny.

Położona jest przez nią zaporą ogniową karabinów maszynowych, zarówno z budynków z Placu Teatralnego, jak i z Placu Bankowego. Patrolują tutaj czołgi. Teraz mogą stać, gdzie przyczajone. Ogień chwilami wymiata całą ulicę. Nieostrożny ruch nogi jednego z chłopców spowoduje zranienie.

Naraz kryje się strzelanina. Meldują, że od Bielańskiej i Tłomackiego, gdzie miał być mjr. Sosna, zbliżają się Niemcy.

Jerzy bierze dwóch ludzi, RKM, kilku ze Stenami i pędzą na pierwsze piętro budynku. Układają się we wnękach okien i balkonów. Mają wszystko jak na dłoni. Od Bielańskiej wzdłuż ulicy posuwają się żandarmi. Zatrzymują się przed ruinami domów, penetrują i szukają czegoś. Zachowują się bojowo. Wreszcie zbliżają się do budynku, gdzie leżą chłopcy. Powstańczy RKM jest gotowy do otwarcia ognia. Jerzy z grupką chłopców zajmuje stanowisko naprzeciw otworu w murze. Niech tylko ukażą się w nim twarze, w stalowych hełmach! W największym napięciu czekają na znak. Jerzy gwałtownie opuszcza rękę. Straszliwy warkot drze ciszę na strzępy i uderza grad kul wprost w twarze, oczy i czoła Niemców. Kilka skręconych przedziwnie ciał wije się w kałużach krwi na chodnikach.

Teraz Jerzy pozostawia chłopców, aby się zabawiali wykańczaniem Niemców, a sam powraca do oficerów. Trzeba uczynić skok przez szerokość ulicy. Nie ma czasu na szukanie sposobów. Morro rzuca projekt stworzenia czegoś w rodzaju zasłony dymnej. Przyjmują go z radością. Mają dwie świece dymne, a resztę dopełnią granaty. Skupiają się przy wielkim oknie wystawowym.

### SKOK DO KOŚCIOŁA

Rozlega się ostry gwizd Jerzego! Powietrze wstrząsają gwałtowne wybuchy, wzbijają się gęste chmury dymu, przesłaniają wszystko. Morro i Witold (Morawski Witold) rzucają „gamony”. Powstaje jak gdyby korytarz z dymu. Szybko wbiegają w niego. Wielkimi sumami przemierzają skokiem na drugą stronę ulicy. Niemieckie hełmy i panterki do reszty

\* Sanitariuszka ta, odznaczona dwukrotnie Krzyżem Walecznych — zginie śmiercią żołnierza w dniu 15 września w walkach swojego oddziału na Czerniakowie.

Dzień przedtem padnie ppor. Morro, świetny dowódca i wychowawca towarzyszy walki i pracodawca absolwent Wyższej Szkoły Handlowej.

dezorientują nieprzyjaciela. Po schodkach wpadają do kruzganków. Migają im w oczach nagrobki, tablice. Wdzierają się na cmentarzyk i do kościoła.

Owiewa chłopców miły chłód starych murów i zapach spalenizny. Jedną z najstarszych świątyni w stolicy, zbudowaną jako votum dziękczynne za zdobycie Smoleńska, przez Zygmunta III Wazę, ongiś klasztor OO. Reformatorów, jest spalona.

Przez otwory w sklepieniu przeziara błękit nieba, wszechają się ciepłe promienia słońca.

Widać twardo opierała się świątynia germańskim podpalaczom. Wiele razy podkładali ogień pod ołtarze, ale płonienie zaraz gasły.

W hocznej kaplicy, w szeroko rozlanej zaskrzepłej krwi leży sterta ciał rozstrzelanych mieszkańców, ponad trzydzieści osób, w długim ciemnym korytarzu na plebanii zwał pięćdziesięciu ciał obłamanych benzyną. Płonienie nie zdołały zatrzeć śladów bestialskich zbrodni. Wpadają do zakrystii, głęboki mrok nie może ukryć niesamowitego rozgardiaszu i nieporządku.

Wielki krycyfikis poobwieszany ryszunkiem żołnierskim, gdzieś to już widziana scena — chyba w obrazie Jana Matejki „Polonia”.

Powywlekane z komody i szaf, porzucane w nieładzie kapy, chorągwie, ornaty, dzieło rąk i mozolnej pracy benedyktyńskiej cierpliwości sióstr zakonnych, walają się na posadzce. Usiane są na nich żołnierskie legowiska rozpuszty lub gwałtu. Wokół zdeptane szaty liturgiczne, części garderoby kobiecej, wśród rozbitych naczyń i flaszek po wódce, świeżo napoczęte puszki z konserwami, porzucane w największym pośpiechu ekwipunek, wiele broni, amunicji i granatów.

Chłopcy choć zgłodnieli chwytają granaty, a nie żywność. Głwila odpoczynku. Zapuszczają się do wielkiego ogrodu księdza proboszcza. Wokół czerwonych murów zwisają w bujnej zieleni dojrzałe pomidory — przysmak upragniony i wspaniały.

Na plebanii, w mieszkaniu ks. dr. Trzeciaka, niesamowite spustoszenie. Bogata biblioteka, eksponaty i zbiory spalone. Wiele książek i papierów, rękopisów porzuczonych wala się wszędzie.

Ksiądz prałat posiadał złotą szkatułkę z bakcylem trądu, pozostałość z jego pracy misyjnej w lapresorium na Bliskim Wschodzie, z wczesnego okresu kapłaństwa. Nigdy jej zbytnio nie chował w czasie okupacji. Teraz zapewne zrabował ją jakiś brunatny zbir. Dłgie to chyba najoryginalniejszy i najodpowiedniejszy podarek lub souvenir z tej wojny dla jakiejś rozkosznej Charlotte czy Margaritty w Reichu.

Chłopcy krótko tu odpoczywają. Zakładają opatrunki, posilają się żywnością. Posterunki meldują, że dom, w którym byli niedawno zajęli już Niemcy, teraz przez otwartą bramę świątyni stawiają niejako ogniową zaporę z C.K.M-ów. Widać jak pociski, zlobia ślady w marmurze głównego ołtarza, w rzeźbach, obrazach i wiercą dziury w brzuszkach tłustych aniołków. Straszliwe huki wypełniają pustą świątynię — to czołgi walały we fronton.

### PRZEDPIEKLE

W międzyczasie Morro z kilku chłopcami przez spalone piwnice kościoła dociera do sąsiedniej posesji na tyłach „błękitnego pałacu”, spalonego jeszcze we wrześniu 1939 roku, a należącego do hrabiego Maurycego Zamoyskiego. Przesyła stamtąd meldunek, że spalona trzypiętrowa kamienica jest pusta.

Przy huk, padających gdzieś w pobliżu bomb i warkocie nadlatujących samolotów, przebiegają ogród pełen młodych drzew, obok oranżerii i kamiennych posągów za kościołem i docierają do ciemnej piwnicy. Długi i mroczny korytarz pełen jest rupieci i jakichś pustych blaszanych puszek. Przy każdym poruszeniu dźwięczą one pod nogami.

Dowódcy decydują się przeczekać tutaj przez cały dzień i dopiero pod osłoną nocy przedzieścić się dalej. Jerzy ze Snicą i Drogosławem obchodzą podziemia, orientują się w położeniu i wyznaczają każdej grupie stanowiska. Okienka piwnic, w których siedzą wychodzą na wąski dziedzińcyk, między kamienicami, i na ogród Saski. Widoczność od podwórza bardzo słaba.

Jerzy usadowił się po przeciwnej stronie podziemi. Z jego okienka, osłoniętego gąszczem zieleni krzewów, rozciąga się widok na zielony kopcik, ukoronowany białą świątynką Sybilli, z jonskimi kolumnkami i na posąg muzy, symbolizującej Twórczość. Zaledwie kilkanaście kroków, między pniami starych drzew znajduje się główna komunikacyjna arteria, najbardziej ożywiona. Przebiega ona od Saskiego Placu, przez zniszczone arkady kolumnowe Sztabu Głównego i mogiłę naszego Nieznanego Żołnierza, barbarzyńsko zdepianą i stratomowaną tysiącami kół i gąsiennicami czołgów.

Jerzy nakazuje jak największą ciszę. Okna przygotować do wykonania nagłego skoku. Nawet w najbardziej groźnej sytuacji nie mogą otworzyć ognia bez rozkazu. Nad wszystkim czuwa, wszystko ma na oku i wszystko przewidział, niczego nie zapomniał.

Chłopcy wala się w piwnicach na ziemię jak kłody, opierają się o ciemne ściany. Niektórzy momentalnie zasypiają. Mają w nerwach koszar ostatni przeżyć, ponad siedemdziesiąt godzin nieustannej walki i to ostatnie nocne natarcie.

Czujki wystawione w sąsiedniej piwnicy walczą nieustannie ze zmęczeniem i snem.

Główne wejście do piwnicy ubezpiecza sierżant-podchr. Jur (Wolski Andrzej), z peemem w rękę. Ma przed oczyma wąskie i długie ramie podwórza, między murem pałacu a oficyną.

Z tej strony w każdej chwili mogą okazać się Niemcy — będzie można wystrzelać ich, jak kaczkę.

Coraz to spogląda na zegarek, powieki ciężą mu jak z ołowiu. Minuty kapiają jak smoła. Tyle jeszcze czasu do zmierzchu.

Dochodzą chłopców echa gęstej strzelaniny i wybuchów granatów. Nieprzyjaciel zapewne sądząc, że powstańcy usadowili się w kościele św. Antoniego atakują go uporczywie. Gdy ich tam nie znajdują, zaczynają poszukiwania, słusznie przypuszczając, że musieli zapaść w sąsiednich ruinach, czy kanałach.

W razie starcia wynik z góry przesądzony dla powstańców.

Czujki wyciągają słuch i wzrok. W pewnej chwili słyszą liczne kroki. Ukazał się patrol nieprzyjacielski. Przechodzi. Nie zatrzymuje się. Znów słychać krzyki i detonacje. Niemcy zapewne wdarli się do pustej świątyni. Teraz przyjdą tutaj. I co będzie?

Napięcie nerwowe wzrasta. Wokół domu słychać coraz to liczniejsze kroki. Czujka daje znak rękami i szeptem trzech żandarmów. Przy głównym wejściu zmienił teraz Jura na czujce jakiś chłopiec z kompanii „Maciek”. W pewnej chwili któryś Niemiec rzucił granat. W ciemnym długim korytarzu rozległ się huk. Naraz w tumanów kurzu wyłania się postać w hełmie i w panterce, biegnie w głąb korytarza.

Któryś z chłopców nie może wytrzymać nerwowo. Puszczą całą serię w niego. Trup wali się z jękiem na ziemię. Chłopcy spodziewają się większej grupy Niemców. Stoją pod ścianami przyczajeni, z bronią gotową do strzału. Cisza wpija się w uszy.

Nie słychać żadnych kroków. Zbliżają się do trupa. W kałużę krwi leży ów chłopiec, który ubezpieczał od głównego wejścia.

Zginął od kul towarzyszy broni.

Po chwili Słoń, który stoi przy erkaemie daje znak, że zbliża się około piętnastu Niemców.

(c. d. n.)

W sobotę dn. 21 czerwca »Caritas Academica« urządza z b i ó r k ę w lokalach i teatrach na obozy wypoczynkowe dla studentów uczelni warszawskich

**Pomóż i ty!** **Pomóż i ty!**

## Szeroki horyzont

# KARDYNAŁ XX WIEKU

Droga życiowa kardynała Franciszka Spellmana jest niezwykle nawet na tle długiej i barwnej historii Kościoła katolickiego. Jego zdolności w połączeniu z głęboką wiarą, osobistym urokiem i znajomością ludzi, predestynują go na czołowe pozycje w 350 milionowej rzeszy katolików całego świata. Chcielibyśmy dziś, w tej rubryce poświęcić postaci kardynała Spellmana raczej ze strony anegdotalnej, nie starając się wnikać w szczegóły działalności tej chyba najbardziej nowoczesnej postaci Kościoła. Oto kilka fragmentów, które mogą posłużyć do wyobrażenia sobie jego sylwetki.

### 100.000 MIL NAD WSZYSTKIMI FRONTAMI

Podczas wojny, kardynał Spellman był duszpasterzem Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych i sprawował nadzór nad 5.370 kapelanami polowymi. Odwiedził też te wszystkie pola bitewne, gdzie walczyły wojska amerykańskie, przelatując samolotem 100.000 mil i wizytując 24 kraje.

Jest on niskiego wzrostu, baryczny o twarzy nacechowanej żelazną energią. Jest uzdolnionym poetą i cztery jego książki rozeszły się w półmilionowym nakładzie, przynosząc mu 250.000 dolarów, które przekazał na cele dobroczynne. Jest też pierwszym arcybiskupem, który swą książkę („The Risen Soldier”) odsprzedał wytwórni filmowej do scenariusza. W roku 1926 nauczył się latać i jest też pierwszym katolickim biskupem, posiadającym licencję pilota. Jego „piewszczość” na drodze do nowoczesności polega też na tym, iż jest pierwszym arcybiskupem, który korzysta z dyktafonu. Każdej nocy, w swym dużym domu w samym sercu Manhattanu, kardynał Spellman nagrywa swe przemówienia, listy i orędzia, które następnie za dnia są odczytywane i przepisywane przez jego sekretarzy.

### „NIE BARDZO ŁADNY”

Urodził się w małym miasteczku w stanie Massachusetts w roku

1839. Ojciec jego miał sklep kolonialny. Cała rodzina pochodziła z Irlandii, skąd dziadkowie Kardynała przybyli na stałku, który sam Kardynał opisuje jako „nie bardzo ładny”. Kronikarze amerykańscy podają dalej, że w szkole młody Spellman był raczej miernym uczniem, wyróżniając się jedynie napisaniem ciekawej pracy o bitwie pod Gettysburgiem. Wyróżniał się natomiast w ekipie baskballu i jak prawdziwy Irlandczyk był zamiłowanym bokserem, urządzając często mecze w domu swego ojca. Jako chłopiec roznosił gazety, obsługiwał klientów w ojcowskim sklepie, rozwoził towary po domach i przez jedno lato pracował jako konduktor.

W roku 1907, wyjechał na studia do Nowego Jorku, na Uniwersytet Fordhama, gdzie też był dobrym, ale nie wyróżniającym się specjalnie studentem. I tam też interesował się sportem, ale — jak to z widocznym żalem notują kroniki — był za niski do reprezentacji uniwersytetu. W dniu otrzymania dyplomu zawiadomił swych rodziców, że postanowił wstąpić do Północno Amerykańskiego Seminarium w Rzymie i zostać księdzem.

### RZYM

W roku 1911, mając lat 22, przybywa do Rzymu, trzymając pod pachą aparat fotograficzny, statyw i małą walizkę. Tak jak każdy kleryk, otrzymuje małeńki pokój, którego jedynym umeblowaniem jest klęcznik, stolik do pracy i pryzca. Dzień zaczyna się Mszą św. o wpół do szóstej rano, a kończy modlitwą o dziesiątej wieczór. Porządek był regulowany jedynie przez dzwonki, nakaz milczenia był poza wykładami skrupulatnie przestrzegany. Wszelkie rozmowy w salach wykładowych odbywały się tylko w języku łacińskim, zaś jedyną rozrywką kleryków, był spacer parami przez ulice Rzymu.

Była to zupełnie inna atmosfera od tej, która panowała w małym

miasteczku amerykańskim czy na boiskach uniwersyteckich, ale Franciszek Spellman zniósł dobrze tę zmianę. Tam też zwrócił na siebie po raz pierwszy uwagę. W roku 1916, zostaje wyświęcony na księdza i wysłany do małeńskiej parafii Roxbury w arcybiskupstwie Bostonu. Z czasem zostaje redaktorem „The Pilot”, organu katolików bostońskich.

### TŁOMACZ

W roku 1925, Ojciec Spellman pielgrzymuje do Rzymu i kiedy podczas jednej z audiencji, Ojciec Święty zwrócił się do grupy pielgrzymów amerykańskich, jak zwykle po włosku, ks. Spellman otrzymuje polecenie przełożenia tych słów na angielski. Czyni to tak sprawnie i dokładnie, że zostaje przyjęty do watykańskiego Sekretariatu Stanu, jako pierwszy Amerykanin. Był wtedy w Rzymie przez siedem lat, zajmując się głównie przekładaniem na angielski ważnych dokumentów papieskich.

Jego niespokojny duch, kazał mu jednak nawet i w tym centrum tradycji zaprowadzić zasadnicze zmiany. Dawniej, wszelkie oświadczenia papieskie były drukowane najpierw w oficjalnym dzienniku watykańskim. Dziennikarze zagraniczni musieli je tam czytać i tłumaczyć na swój język przed przedepesowaniem swej gazecie czy agencji. Spellman zaprowadził zwyczaj amerykański równoczesnego sporządzania powielanych kopii ważniejszych dokumentów we wszystkich językach, które też dostarczano zainteresowanym dziennikarzom równocześnie z opublikowaniem jakiegos oświadczenia.

Ks. Spellman zaprzyjaźnił się też wtedy z ówczesnym kardynałem Pacelli, z którym razem chodził na ryzykowne wspinaczki w Alpach szwajcarskich.

### NA FALACH ETERU HALLO, STEFEK, TO JA!

Mamy już rok 1931. Signor Guglielmo Marconi zbudował był właś-

nie pierwszą radiostację watykańską i 12 lutego tegoż roku, idzie na falach eteru inauguracyjne przemówienie papieża, którego przemówienie w języku łacińskim, zostaje natychmiast przełożone na angielski przez Spellmana. Zarówno przemówienie jak i jego przekład, były transmitowane przez wszystkie rozgłośnie amerykańskie. Tuż po odczytaniu przez siebie tekstu angielskiego, Spellman uciął sobie małą pogawędkę z księdzem Stefanem Donahue, który przebywał właśnie w nowojorskim studio. Obaj pralaci i serdeczni przyjaciele nie wiedzieli jednak o tym, że kabel wiodący ze studia na antenę był włączony i rozmowie ich przysłuchiwały się miliony ludzi. A było rzeczywiście czego słuchać:

Donahue: — Bardzo proszę powiedzieć ks. Spellmanowi, że chciałbym z nim rozmawiać!

Spellman (z Rzymu): — Hallo, Stefek, to ja!

Donahue: — Wiesz Franek, przed chwilą telefonowaliśmy do twojej matki i powiedziała nam, że cię świetnie było słyszeć!

Taka była rozmowa dwóch przyjaciół poprzez ocean i tysiące kilometrów. Przemówienie papieża przez radio było wydarzeniem dnia, ale miliony amerykańskich słuchaczy były najbardziej pod wrażeniem tego zdumiewającego faktu, że w Rzymie znalazł się ktoś, kto zawałał: — Hallo, Stefek, to ja!

### PRAWDA IDZIE W ŚWIAT

Była to epoka, kiedy rząd faszystowski wzmógł kampanię przeciw Akcji Katolickiej i katolickim organizacjom młodzieżowym we Włoszech. Pius XI postanowił działać; została przygotowana encyklika piętnująca postępowanie faszystów, ale zaistniała obawa, że cenzura Mussoliniego zapobiegnie opublikowaniu tego dokumentu. Kardynał Pacelli, ówczesny Sekretarz Stanu, wezwał do siebie pralata Spellmana i powierzył mu ten ważny tekst.

W dwa dni później, niski, krępy ksiądz w okularach, wszedł kolejno do oddziałów największych amerykańskich agencji prasowych United Press i Associated Press w Paryżu i ciskając na biurko dyżurnego redaktora olbrzymi dokument o 10.000 słów, zawołał wesoło: „Oto macie prawdziwy dar boży!”

Następnego dnia, dokument przeszedł w świat w całości, wywołując olbrzymie wrażenie i powodując natychmiastową reakcję faszystów, którzy zlekli się niepożądane rozgłosu.

Wywiad włoski dowiedział się rychło, że to Spellman przewiózł zagranicę tę encyklikę i odtąd, dwóch „aniołów stróż” w cywilnych ubraniach, chodziło za nim krok w krok z ramienia faszystowskiej policji. Znudziło się to w końcu potomkowi wojowniczych Irlandczyków i podczas jednej przechadzki zwrócił się niespodziewanie do swych „opiekunów”:

— „No i czego właściwie chcecie? Sam sobie dam radę — możecie odejść!” Na tym skończyła się ta uciążliwa opieka...

### „ARCYBISKUPI SĄ ŁATWIEJSI DO WYDANIA”

Dalsze koleje losu kardynała Spellmana wykraczają poza ramy naszej rubryki i proszą o poważniejsze pióro. Chcielibyśmy tylko przytoczyć ostatnią anegdotę, jaka kursuje na jego temat.

Było to podczas wojny i kardynał Spellman szykował się do przelotu przez ocean, w drodze na front europejski. Tymczasem, warunki atmosferyczne nad Atlantykiem pogarszały się stale i w końcu lot został ogłoszony za „ryzykowny”, zaś władze wojskowe, kazały w związku z tym opuścić samolot pewnemu generałowi, który również miał lecieć do Europy. Kardynał Spellman został jednak na pokładzie i czekał na wystartowanie samolotu.

Zbiło to z tropu generała, który gromkim głosem domagał się od komendanta lotniska wyjaśnień, dlaczego to właśnie jemu kazono wsiąść.

Kardynał przysłuchiwał się ze spokojem tej scenie i powiedział wyjaśniająco do generała:

— „Poprostu arcybiskupi są łatwiejsi do wydania...” — na niebezpieczeństwo. **Wilk.**

### BRAK LUDZI NA ŚWIECIE

„Oređownik” (Procurador Polaco), organ polski w Argentynie biada następująco w numerze z dnia 30.I. 1947:

„Argentynie brak ludzi do ciężkiej pracy. Przyrost naturalny maleje. Młodzież się uczy, więc ucieka od cięższej pracy. Każdy chciałby mało robić, a dużo zarabiać. Wskutek wojny powstało w Argentynie wiele fabryk i dobrze w nich płacą, dlatego kto może rzuca pracę na roli i przenosi się do miasta. Ponieważ w ciągu wojny nikt z zagranicy nie przyjeżdżał, brak robotnika staje się wielki i jeśli tak dłużej potrwało, może dojść do katastrofy.

Rząd chcąc temu zapobiec opracował plan sprowadzenia z Europy w ciągu 5-ciu lat 4-ch milionów emigrantów — silnych, zdrowych i niezbyt starych. Zdawało się, że pójdzie łatwo, bo w Europie ludzie głodują. Lecz i w Europie są rządy, które dbają o swoje kraje. Gdyby Argentyna chciała zabrać starych, kaleki i nierobów, z chęcią by ich wszystkich dano, ale ludzi zdrowych sami potrzebują. I słusznie, bo kto potem będzie pracował na starych rodziców, na drobne dzieci itd. Pojedzie taki młody człowiek zagranicę i jeśli czasem pośle jakiego pesa, czy to wyrówna stratę? W Europie nie ma państwa, które by mogło sobie pozwolić na wyjazd młodych mężczyzn.”

Argentyńczycy mają wszelkie bogactwa, ale brak im największego

### Walenty Majdański

## SZEROKI HORYZONT PO MOJEMU

bogactwa: licznych dzieci. Dlatego grozi im katastrofa.

### RODZINA W ANGLII

Urodzenia w Anglii i Walii wynosiły w latach 1926—30, 1931—35, 1935—36: 16,8, 15,0 i 14,8. Obok Szwecji i Norwegii były wówczas najniższe w świecie. W Szkocji było wtedy nieco lepiej: 19,7, 18,2 i 17,8. Radio Brytyjskie z dnia 21.I. 1947 doniosło z radością, że w roku 1946 łączna suma urodzeń wyniosła dla wyspy 820.000, co stanowi 18,1 urodzeń na 1.000 ludności. Gorzej jest z trwałością małżeństw: co kwadrans ktoś się rozwodzi. Radio Brytyjskie z dnia 6.II.1947 mówiło, że podania o rozwód wzrosły w równoważonym Albionie z 750 w roku 1906 na 50.000 w roku 1946.

Ale co oznacza 18,1 urodzeń na 1.000? Oczywiście, co innego wyraża tam, gdzie jest silna śmiertelność, co innego, gdy jest niska: np. w Nowej Zelandii, wynosiła śmiertelność w latach 1921—35: 8,4 na tysiąc ludności (najniższa w owe lata w całym świecie), w Polsce w latach 1924—37 wynosiła 15,6, w W. Brytanii 12,6. Śmiertelność jednak choćby najniższa ma swoje granice, a przy niskiej ilości urodzeń miewa takie oto tendencje: „Szybko rosnące spo-

łeczeństwo o dużej umieralności może się składać w połowie z dzieci poniżej lat 15-tu i liczyć będzie bardzo niewielu starców; przeciwnie, społeczeństwo o małej śmiertelności, szybko malejące, może mieć poniżej 10% dzieci, a ponad 50% starców powyżej lat 60-ciu”. (Szulc) Poza tym liczba urodzeń, wynosząca 13 na tysiąc, zaledwie może wystarczyć, ażeby w ciągu kilku pokoleń ludność nie malała w liczbie, (tak było we Francji w latach 1900—1939); na jedno małżeństwo wypada wtedy średnio więcej niż troje dzieci. A więc 18,1 urodzeń na tysiąc, to jeszcze nic osobliwego: to być może, zaledwie stagnacja w ilości zaludnienia, gdy tymczasem Indie liczą 400 milionów ludzi i już przed wojną miały co roku o 50% urodzeń więcej niż Europa, przyrost zaś rósł tam z powodu spadku śmiertelności, np. „z 4,70/00 w latach 1896—1905 do 10,90/00 w ostatnim pięcioleciu”. (Szulc).

Nic tedy dziwnego, że sławetna „birth control” i cały neomaltuzjanizm zaczyna teraz po wojnie być odczuwany przez dalej patrzących Brytyjczyków, jako śmierć wyspy. Oczywiście, rozumieją to przede wszystkim katolicy angielscy, zaś patronuje akcji prorodzinnej kardynał Griffin, postać urastająca na

symbol odradzającej się Anglii. Z jego inicjatywy w sierpniu 1946 roku powołano do życia „Katolicką Radę Naczelną dla Paradni Mażeńskich” (Catholic Marriage Advisory Council). Rada otworzyła pierwszy swój ośrodek w Londynie jeszcze w sierpniu 1946 roku i do 31 stycznia 1947 zdołała zapobiec w 178-miu wypadkach trudnościom małżeńskim. Drugi cel takich poradni, to wychowywanie młodzieży myślącej o małżeństwie — do życia małżeńskiego. Temu celowi mają służyć specjalne kursy korespondencyjne, wzorowane na podobnej akcji, prowadzonej przez uniwersytet kanadyjski w Quebec.

Wiosną 1946 roku odbył się zjazd rodziców - katolików w Manchester przy udziale 12.000 osób. Zjazd zorganizowało „Stowarzyszenie Rodziców Katolickich” (P.P.A.).

Lord major, pozdrawiając zjazd w imieniu Państwa, zwrócił uwagę na niski stan moralności w Anglii po wojennej i konieczność powrotu do świętości w małżeństwie. Griffin w swym przemówieniu zapowiedział powołanie do życia „Rady Obrony Małżeństwa”, a następnie poruszył sprawę rozwodów, regulacji urodzeń, uświadomienia seksualnego, na budownictwa mieszkaniowe, problem żłobków, pielęgniarstwa, roli

wychowawczej radia i prasy oraz wezwał do krucjaty prorodzinnej. Na wzrastającą falę rozwodów jest tylko jedno lekarstwo: nie pozwolić ustawowo na rozwody. „Ciężkie przy padki powodują złe prawa” Należy zabronić produkcji, reklamy i sprzedaży środków przeciw zapłodnieniu i zabijających płód. Za wiele mówi się o wychowaniu seksualnym, a za mało uczy się chłopców i dziewczęta, aby byli dobrymi rodzicami. Dzieci winny być wychowywane przede wszystkim przez rodziców. Każda rodzina winna mieć dom, najspierw jednak budować należy domy dla rodziców z licznymi dziećmi. Kardynał wypowiedział się przeciwko antymacierzynskiej instytucji: żłobków. Oddalenie kobiet od trosk o dzieci, a kierowanie zainteresowań kobiecych na życie zawodowe — przynosi kobietom i społeczeństwu szkodę i jest niekonieczne. Prasa i radio winny zająć zdrowsze stanowisko wobec zasad życia rodzinnego

### TRUMAN I SAKRAMENT MAŁŻEŃSTWA

Ze USA są krajem rozwodów i neomaltuzjanizmu wie każdy. Ta sama szaleje tu „birth control”, co w Anglii. Zdarzały się tam nawet „baby”, wrzeszczące o strajku rodziców: tak jakby w naszych czasach potrzebą było ludzi napędzać do niewydawania na świat potomstwa. Ale 3 miliardy Azjatów, pra-

widywanych po drugiej stronie Pacyfiku jeszcze w połowie wieku XXI, ma już dziś swoją wymowę: tym bardziej, że Stany wymarłyby nawet nie z powodu Azjatów w galopująco, ale z braku dzieci, gdyby nadal miał się tam utrzymać poziom dzietności z takiego choćby na przykład roku 1934-go. Wypadało wtedy 1,4 dziecka średnio na rodzinę. Oczywiście, ogół publiki janke-sowskiej, zachłyśnięty wielkością Stanów po tej wojnie, nie widzi jeszcze grozy wymarcia USA i perspektywy zalania terenów Stanów miliardami Azjatów. Widzą to dopiero Amerykanie o zaostrozonym wzroku, katolicy amerykańscy. Toteż naj-sampierw wśród nich zaczyna się odwrót od „strajków macierzyń-stwa”, od „kontroli urodzeń” (birth control), od wszelkiej zielenizny w głowach, głupoty i ciemnoty neomal-tuzjańskiej. Przytaczamy za „Universe” z dnia 21 marca 1947:

„Katolicy w USA odnowili swe śluby małżeńskie podczas uroczystości w kościołach — na przestrzeni od Atlantyku do Oceanu Spokojnego. Modlono się o zniesienie rozwo-

dów, o usunięcie ograniczania potomstwa i innych zbrodni małżeńskich. Odmawiano wszędzie specjalną modlitwę, ułożoną specjalnie, dla rodzin.

W tym samym czasie odbyła się w Chicago wielka narodowa konferencja katolicka, poświęcona sprawom życia rodzinnego. Odczytano tam list Trumana, gdzie prezydent USA mówi o „oczywistości niebezpieczeństwa dla rodziny amerykańskiej”, oraz o tym, że „rodzina jest zawsze korzeniem i kwiatem cywilizacji. Gdy korzeń jest zdrowy, możemy ufnie oczekiwać kwiatu — przyszłości — w całym jego pięknie”

A więc kolos amerykański, ciągle jeszcze świetny, lecz już wymierający z braku dzieci, drgnął. Budzą go Jankesi - katolicy. Pozostali Amerykanie — dalej niszcząc dzieci świadomie, wierzą święcie, że to kultura i postęp. Świat anglosaski odradza się w swej części katolickiej. Zresztą, poza katolicyzmem nikt się nie upora zwycięsko z wymieraniem, degeneracją i wymarciem, towarzyszącymi zawsze, jak świat światem, narodom regulującym potomstwo.

Przyszły świat będzie katolicki. Wszyscy inni wymrą z braku dzieci i degeneracji.

#### RÓŻANIEC W HOLLYWOOD

Powiedzmy ściślej — „rodzinny różaniec”. Tak nazywa się ruch, rozszerzający się od kilku lat na całe Stany, a zapoczątkowany (podczas ostatniej wojny) wśród gwiazd filmowych w Holly przez księdza Patryka Peyton z diecezji Albany. Peyton, były górnik irlandzki i był by beznadziejny gruzlik, przybył pod czas drugiej wojny światowej do USA, by zostać księdzem, a potem iść do Hollywood i za pomocą tamtejszych gwiazd szerzyć ideę odmawiania różańca, wieczorem, w rodzinach na całym świecie. Wstępnym bojem zdobył dla swej idei takie nazwiska, jak Don Ameche, Lon Costello, Charles Boyer, Maureen O'Sullivan, Joan Leslie, Margaret O'Brien i inne. Wkrótce zaczęto nadawać jego kazania i specjalne audycje katolickie na 300 rozgłośni amerykańskich. Pedro de Cordoba zgłosił się także, by brać udział w powyższych audycjach, „pomiął Broadway”, a „co wieczór wraz z

żoną i sześciorgiem dzieci klęka u siebie, by odmawiać różaniec”. Są i tacy aktorzy..., oczywiście nie w Polsce. „To cud — zaopiniował ktoś w Hollywood — gwiazdy odrzucają milionowe oferty na rzecz księdza Peytona”. „Są wielcy święci w Hollywood. Sławni to ludzie, a nigdy nie opuszczają różańca, ani Mszy”.

Te i więcej zdań o Peytonie można znaleźć w „Universe”, z dnia 14.II. 1947 w artykule „Brat Peyton idzie do Hollywood”.

Jeszcze nie dawno czytało się u Aldous'a Huxley'a: „Hollywood przedstawia nas podwładnym rasom Wschodu i Południa jako kryminalistów i podejrzanym na umyśle”. Zaś Bernard Shaw tak oto się gorszył: „Hollywood jest jednym z najniemoralniejszych miast na świecie... Jest niebezpieczny, bo szerzy anarchizm”.

Jest prawdopodobne, że Huxley i Shaw na tym skończyli swą walkę z anarchizmem, ziejącym z Hollywood. Katolicy amerykańscy poszli dalej: stworzyli Narodową Ligę przyzwoitości. Liga zorganizowała bojkot nieobyczajnych filmów. Sku-

tek był piorunujący. Hollywood samo zamianowało cenzora czuwającego nad obyczajowością swych filmów. Obecnie Liga rozpoczęła wzmoczoną działalność i to nie tylko przeciw bezwstydnym w filmie, ale w książce i prasie. Ostatnio obradowano publicznie w tej sprawie w Chicago.

„Dopiero później dowiedział się Peyton, że jego matka w tej intencji, aby on został księdzem, prosiła Boga, by zabrał ją z tego świata” — powiada „The Universe”.

W USA na 24 miliony katolików jest 30 tysięcy księży, w Polsce na 24 miliony katolików jest 6 tysięcy księży. Brak nam 24.000 księży. Dlaczego? Bo brak nam 24.000 powołań... na święte matki, gdyż one mogłyby dać Polsce nie 6 tysięcy, ale 30 tysięcy. Trzydzieści tysięcy świętych księży.

Boicie się, Matki, rodzić dzieci, by nie były mięsem armatnim? Stawajcie się święte! Świat świętych nie będzie prowadził rzezi światowych. Tylko świat świętych.

Na tym dziś kończymy kwiatki z życia rodzinnego globu. W. M.

# Z zagadnień gospodarczych

## Czy historia się powtórzy

Wynikiem każdego rodzaju porównania potencjału gospodarczego wielkich mocarstw będzie stwierdzenie, że Stany Zjednoczone przewyższają wszystkie inne kraje zarówno pod względem siły materialnej, skali produkcyjnej, jak i pod względem wyposażenia technicznego czy też standardu życiowego społeczeństwa. Przewaga ta widoczna już przed wojną uległa obecnie dalszemu wzrostowi: podczas gdy wojna zubożyła gospodarkę nawet takich mocarstw jak ZSRR czy Wielkiej Brytanii — w Stanach Zjednoczonych rezultatem wojny było podwojenie przedwojennego dochodu społecznego.

Oczywistą konsekwencją osiągniętego na skutek wojny stanu rzeczy jest poważne znaczenie i rola gospodarki St. Zjedn. w ogólnie światowej sytuacji gospodarczej. Związek ten może być silniejszy lub słabszy, różny może być też od swojego charakteru. Potencjał gospodarczy St. Zjedn. wywierać może bowiem odmienne piętno na ewolucji międzynarodowych stosunków gospodarczych zależnie od tego, czy (1) poprzez daleko idącą w ramach załad organizacji międzynarodowych przyczyniać się będzie do rozwoju państw zacofanych albo zniszczonych wojną, oraz osłabienia dysharmonii gospodarczych, czy też (2) poprzez ekspansję gospodarczą zdatną będzie do realizowania postulatów ekspansji politycznej, czy wreszcie (3) w myśl założeń izolacjonizmu koncentrować się będzie głównie na obszarze obu Ameryk.

Praktyczna realizacja jednej z powyższych ewentualności uzależniona jest od panującej w danej chwili konstelacji politycznej. Jednakże, uzależniona jest ona również w dużym stopniu od wewnętrznej sytuacji gospodarczej St. Zjednoczonych.

Przed wszystkim należy zdać sobie sprawę, że pomimo, że St. Zjedn. wyszły z wojny bogatsze niż kiedykolwiek były poprzednio od razu aktualnymi i wzbudzającymi poważne obawy stały się dwa problemy: 1) czy okres rekonwersji tj. przestawienia produkcji z wojennej na pokojową odbędzie się bez zaburzeń? 2) czy nie zajdzie po drugiej wojnie światowej analogia do rozwoju wypadków po pierwszej wojnie, kiedy to po okresie kilkuletniej „prosperity” nastąpiło nagłe jej załamanie w latach 1929/30?

Drugi problem jest sprawą przewidywaną długo falowych. Aktualną jest natomiast ocena przebiegu i skutków procesu rekonwersji, który zapo-

czątkowując pewną linię „trendu” rozwojowego zadecyduje częściowo o uniknięciu depresji, względnie do niej poprowadzi.

W drugiej połowie 1945 r. i w 1946 r. szereg momentów przemawiał za tym, że okres rekonwersji spowoduje silne załamanie koniunktury. Należałoby tu wymienić następujące momenty:

a) Po każdej wojnie (np. 1866-67, 1921-22) miał miejsce poważny spadek ożywienia gospodarczego.

b) Ponieważ okres intensywności produkcyjnej i łączącej się z nim tendencji zwykłej trwał podczas tej wojny długo i osiągnął niespotykany stopień nasilenia — tym bardziej groźnymi mogły być skutki nagłego dostosowania się produkcji do warunków pokojowych.

c) W szeregu dziedzin dało się zauważyć brak równowagi, np.:

1) Znaczny wzrost kosztów produkcji (przeciętnie o 40 proc.) hamował nowe inwestycje co mogło powodować mniejszy stopień zatrudnienia;

2) Zwyżka kosztów produkcji prowadziła do zmniejszenia realnego dochodu szerokich mas społeczeństwa;

3) Stosunki między robotnikami nie układały się pomyślnie będąc tym samym przeszkodą na drodze do maksymalnego rozwoju produkcji;

4) Udziały istniejących przedsiębiorstw spadły na giełdzie znacznie

poniżej ich ceny nominalnej co świadczyło o osłabieniu przedsiębiorczości;

5) Opodatkowanie, które wynosiło 25 proc. dochodu społecznego było dużym ciężarem i było czynnikiem hamującym ożywienie gospodarcze;

6) Duża wrażliwość giełdy na najdrobniejsze nawet wydarzenia polityczne była dalszym hamulcem dla pomyślnego prosperowania inicjatyw prywatnej na której opiera się niemal całe życie gospodarcze St. Zjedn.;

7) W końcu dla uzupełnienia obrazu ujemnych objawów należy podkreślić ogólną tendencję zniżkową, która zmniejszała dopływ nowych kapitałów do produkcji (mały popyt na papiery wartościowe).

Pesymistyczne horoskopy oparte na powyższych przesłankach były jednak z następujących przyczyn znacznie osłabione:

1) Utrzymujący się stały duży stopień zatrudnienia.

2) Istnienie obrotowego zapotrzebowania na wszelkiego rodzaju dobra i usługi w wyniku akumulacji potrzeb które nie mogły być w ciągu wojny przez producentów i konsumentów zaspokojone;

3) Zapotrzebowanie uzupełnione było niemającą precedensu siłą kupna społeczeństwa: aktywa płynne konsumentów amerykańskich były w 1946 r. dwa i pół razy większe niż przed wojną. Zaszły również korzystne zmiany strukturalne w obrębie

siły kupna — jeżeli przed wojną 10 proc. ogółu konsumentów posiadał 90 proc. płynnych rezerw, to w 1946 r. ten sam odsetek konsumentów posiadał 60 proc. ogólnej siły kupna.

4) W przeciwieństwie do sytuacji po pierwszej wojnie światowej ekspansja pieniężna na cele inwestycyjne opiera się głównie na zadłużeniu publicznym podczas gdy załужenie prywatne utrzymuje się bez zmian na poziomie sprzed 1939 r. Na rynku znajduje się więc ograniczona potrzebami ilość pieniądza.

5) Szereg naukowych i technicznych wynalazków oraz udoskonalen stwarza duże możliwości do rozwoju produkcji (poprzez jej specjalizację).

6) Duże zapotrzebowanie zagranicy na dobra i usługi St. Zjedn.

Zachodzi jednakże pytanie, czy dające się zauważyć objawy ujemne nie okazały się silniejsze od dodatnich i nie spowodują recesji gospodarczej tj. zaburzeń wyrażających się spadkiem produkcji i załamaniem ożywienia handlowego (w związku z przestawianiem gospodarli z wojennej na pokojową, który to okres sam w sobie zawiera elementy nierównowagi i sprzeczności).

Szereg momentów uzasadnia twierdzenie, że St. Zjedn. przechodzą właśnie obecnie okres recesji:

1) Duża siła kupna społeczeństwa (w wyniku przymusowego nagromadzenia oszczędności podczas wojny), która sama w sobie jest zjawiskiem dodatnim — była na krótką metę

czynnikiem działającym zwykłym na ceny.

2) Zniesienie kontroli cen w ubiegłym roku było dalszym i głównym powodem podniesienia się poziomu cen np. indeks cen hurtowych wyrósł w 1945 r. — 110, a na początku br. 165. W tym samym czasie ceny detaliczne wzrosły przeciętnie o 20 proc. Ponieważ zwykła płac nie dorównała wzrostowi cen, zakupy społeczeństwa uległy zmniejszeniu począwszy od końca 1945 r. istniejącego nadal wienasycaenia rynku. Zmniejszony popyt przyczynił się do gromadzenia zapasów towarowych w składach i domach towarowych, a w niektórych gałęziach przemysłu spowodował nawet decyzje przedsiębiorców zmniejszenia produkcji.

3) Zwiększająca się rozbieżność pomiędzy cenami i płacami (przy niezmińszonych dochodach przedsiębiorców) była dalszym czynnikiem osłabiającym ożywienie.

4) Łączące się z powyższym zaburzenia na tle stosunków między światem pracy i przedsiębiorcami przyczyniły się do zmniejszenia produkcji.

5) Ilość bezrobotnych wzrosła od sierpnia ub. r. do kwietnia br. o 900.000.

6) Widoczny jest stały spadek inwestycji. Dotyczy to w szczególności budownictwa przemysłowego i mieszkaniowego, które uchodziło w St. Zjedn. za jeden z najczulszych barometrów koniunktury. Trómaczy się to przede wszystkim wysokimi cenami w przemyśle budowlanym, które zmniejszają opłacalność inwestycji.

Objawy powyższe świadczą bez wątplenia o pewnym załamaniu koniunktury, a najlepiej namacalnym tego sprawdzianem jest zniżka na giełdach towarowych (wskutek nagromadzonego stocków). W przeszłości procesowi takiemu towarzyszyło pogłębienie się recesji. Jeżeli tym razem zjawisko powyższe nie zachodzi, należy to przypisać: po pierwsze: istniejącemu ciągle dużemu wolumenowi siły nabywczej. Aczkolwiek najpilniejsze potrzeby zostały zaspokojone — popyt na trwałe dobra konsumcyjne utrzymuje się nadal, choć ma wskutek zwyżki cen słabsze nasilenie.

Po drugie niezmiernie się ekspantu (a nawet jego wzrost), który kontrolnie efekty skarcenia się rynku wewnętrznego.

Z tego też względu sędzić należy, że rozszerzanie się rynków zbytu wstąpiło do czynników decydujących o koniunkturze i o znacznie łagodniejszym przebiegu recesji niż to miało miejsce w 1920-21 roku.

## PRZEMIANY

**P**RZED wojną rozpowszechniona była opinia, że w dużej części społeczeństwa polskiego jest zakorzeniona tzw. psychika emerytalna. Ideałem dla wielu osób, w szczególności wśród inteligencji było zostać urzędnikiem i dosłużyć się emerytury. Równocześnie podkreślano brak przedsiębiorczości, zmysłu kupieckiego i w ogólności zamiłowań i uzdolnień do handlu.

Opinia powyższa była słuszna o tyle, że stwierdzała pewien stan rzeczy, polegający na słabej inklinacji do t.zw. obecnie inicjatywy prywatnej. Natomiast nie była słuszną o ile odmawiała Polakom uzdolnień do handlu. Brak bowiem silniejszych zainteresowań tą dziedziną był wynikiem istniejących przed wojną warunków a przede wszystkim długich procesów polityczno - gospodarczych

Dzisiaj sytuacja pod tym względem uległa radykalnej zmianie. W

okresie wojny na skutek szeregu przyczyn ogromna część społeczeństwa pozbyła się owej psychiki emerytalnej. Ujawniła się w społeczeństwie wprost żywiołowa przedsiębiorczość (np. w Warszawie), gotowość ponoszenia ryzyka, uzewnętrzniły się i rozwinęły zdolności handlowe. Wszystkie te zjawiska pozwalają na stwierdzenie, że obudziła się znowu w naszym społeczeństwie silna tendencja do bogacenia się.

Nasuwa się wniosek, że właśnie na tym tle powstały objawy takie jak szaber. Jednakże szaber jest wynikiem raczej okoliczności ściśle związanych z wojną względnie z okupacją, a nie wypływa z głębokich przemian jakie zaszły w stosunku społeczeństwa do życia gospodarczego.

Nie tylko jednak nastąpiło gospodarcze uaktywnienie części społeczeństwa. Również te warstwy, któ-

re były przed wojną gospodarczo aktywne usprawniły swój system gospodarowania. Mam tu przede wszystkim na myśli drobnych rolników. Rolnicy kalkulują o wiele więcej aniżeli przed wojną. W większym stopniu uzależniają kierunek i rozmiary produkcji od fluktuacji cen. Są to okoliczności, które może doraźnie, stwarzają pewne trudności dla polityki gospodarczej państwa. Na dalszą metę jednak należy ocenić je jako zjawisko pozytywne, przyczynia się bowiem do urentownienia gospodarki rolnej.

Przy budowie nowego ustroju gospodarczego Polski nie można przechodzić do porządku dziennego nad procesami powyżej omówionymi.

Wyzwolone siły nie tyle należy likwidować, ile trzeba je ująć w pewne określone ramy i w ten sposób włączyć w system gospodarki uspołecznionej i planowej. (t.)

# Czytelnik uważa, że...

## SZANOWNA REDAKCJO!

List Prof. W. Lutosławskiego, umieszczony w numerze 23 (80) z dn. 8.VI b.r. świadczy o tym, że autor albo niedokładnie przeczytał, albo niezupełnie zrozumiał moje artykuły, skoro przypisuje mi poglądy, że Jakubisiak był materialistą. Był, raczej byty, zamyka Jakubisiak tylko w przestrzeni, ściślej w granicach „miejsca integralnego”, nie w czasie, (którego absolutności nie uznaje), wychodząc z oczywistości, że byt jest gdzieś. Ale to nie oznacza wcale, że był on materialistą. Przestrzeń nie jest niczym materialnym. Nie przeszkadza to też w niczym spirytualizmowi. I nie wyczerpuje też to poglądów Jakubisiaka; jest tylko ważna, podstawową częścią jego ontologii. Niestety podobne niedokładności i niezupełności coraz częściej zdarzają się naszym profesorom.

Autor twierdzi dalej, że „dobrze znał” Jakubisiaka. Ale widocznie niezbyt dobrze znał jego dzieła, skoro je nazywa aż dwukrotnie „skromnymi”. Jakubisiak wniósł do filozofii następujące nowe pojęcia: auto-determinizm, miejsce integralne, nauka o istocie i naturze rzeczy jako leżbie i materii, naukę o jednoczesności poznania zmysłowego i umysłowego w konkretności; jak nikt przed nim, podkreślił znaczenie indywidualności i bronił niezmienności i nieciągłości bytu; wiele innych postulatów Objawienia chrześcijańskiego oryginalnie uzasadnił i zilustrował językiem filozoficznym. Reforma tomizmu, jakiej dokonał, jest tak gruntowna, że mogłem ją nazwać systemem. Ale autor nie mógł — znając dobrze jego naukę — nazywać ją skromną i pomniejszać jej znaczenie bez pomniejszania siebie. Ocena wielkości filozofa nie powinna być sprawą gustu, ale — zdolności oceny.

Trudno też zgodzić się z autorem, że wiek XIX nie był pod wszechwładnym wpływem monizmu, skoro mieliśmy go w wychowaniu, (dziś jeszcze w Polsce w szkołach i przez radio nauczając ewolucjonizmu), w nauce, polityce, socjologii i filozofii. Oczywiście pewna nieznaczna reakcja była. Ale kto szerzej znał Maine de Birana, czy Renouviere? Natomiast moniste Bergsona prawie każdy znał, jeśli nie akceptował. A to przecież Francuz, nie żaden Niemiec. Zresztą Szan. Prof. nie może tu wygłaszać sądu obiektywnego, ile że sam był sympatykiem i apostołem monistycznego hinduizmu (reinkarnacja, prana itp.), a w swych pracach szedł raczej za niemieckimi idealistami, wywodzącymi się z Platona, niż za myślą chrześcijańską.

Zygmunt Jakimlak

## DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO”

Na ręce Redakcji składam apel do Społeczeństwa i do Duchowieństwa w poniższej sprawie. Od kilku dni ciągnie się ekshumacja Powstańców na terenie Szpitala Jana Bożego przy ul. Bonifraterskiej. Przeprowadza ją pogrzebowy Zakład Miejski; ze strony walczącego tam bat. „Zośka” wystąpiła p. Romocka, która już od dwóch lat ekshumuje poległych z tegoż Batalionu, prowadząc to z niezwykłą sumiennością. Na terenie Szpitala, walczyły oddziały „Wigry” — „Alek” — oraz „Rudy” i „Maciek”, z bat. „Zośka” — gestymi krzyżami ścieląc szlak swojej Gólgoty. Jakaż rozpacz była tych matek, poległych powstańców i zdziwienie p. R., gdy na cmentarzu poświęconym zamiast krzyży i mogiłek znalazły piękne kartofliki — zasadzone przez ludność sąsiednich domów. Dopuszcili się oni potrójnej profanacji. Profanacji szczerków ludzkich, profanacji mogił Bohaterów narodowych, oraz profanacji poświęconego miejsca. Właściciele działek, nie pozwalają niszczyć swego kartoflika — twierdząc, że nigdy tam mogli nie było. Sprawa oparła się aż o Departament Opieki nad grobami poległych. Zarząd pogrzebowy miejski niechętnie oddniósł się do przekopania tych „makabrycznych grządek” — licząc się widać ze stratami tych dużych „działkowców”. Dopiero kaucja 5.000.— zł. za te kartofle rozwiązała sprawę. Dużo już z tego miejsca odkopano tych bohaterów Orląt, a jeszcze temu nie koniec. Dzisiaj już sami właściciele działek pokazują, gdzie były krzyże i mogiłki.

I żeby nie ostra interwencja matek i p. R. — kilkadziesiąt szczerków tych bohaterów — nie spoczęłoby nigdy na właściwym miejscu, służąc za uprągę dla ziemniaków czy dla fasoli. Apeluję do Społeczeństwa, że jak spostrzegą coś podobnego, żeby zwalczali to. — Oraz apeluję do naszego Duchowieństwa, aby z ambon piętnowali takie łajdackie postępowanie. Smutne, że zrobiła to ludność Starówki, która tak piękną postawą wstawiła się w dniach KRWI I CHWAŁY.

Ka - Ma.

## DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO”

Moja i chochlika drukarskiego winna, że do mego listu w sprawie Kraszewskiego — „Dziś i Jutro” Nr. 23 (80) — zakradły się omyłki, które niniejszym prostuję.

Zamiast „rezolucji” styczniowej, winno być: „rewolucji” styczniowej. Kraszewski pisał swój list do Pauliny Wilkońskiej nie 1-go i nie 9-go, lecz 19 marca 1859 r.

Cytat z pracy p. W. Kieszowskiej, wiersz 23 od końca winien brzmieć: „u takiej sławy, u tak wielkiego bądź co bądź pisarza, u „tytana i kolosa” literatury polskiej”.

Z wyrazami prawdziwego poważania:

Hieronim Paulicki

## DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO”

Z wielkim zainteresowaniem czyta się wspomnienia, pamiętniki osób wybitnych, które w życiu — na jakimkolwiek jego odcinku — odegrały, lub odgrywały jeszcze, nieprzeciętną rolę. Lubimy z kart takich doszukiwać się tych momentów, kiedy autor, jednostka ponad miarę przeciętności, okazuje się nam, jako człowiek — mimo wszystko — nam podobny. Kiedy taką wielkość ujrzymy en pantoufles.

I rzecz ciekawa, dotychczas, nasze liczne periodyki nie podchwyciły atrakcyjności takich wspomnień.

Nie można jednak tolerować marnowanie papieru (zwłaszcza, że czynnik rządowe nakazują oszczędność, dla pilnych potrzeb szkoły), na publikowanie pamiętników i wspomnień ludzi, którzy nie mają nic do powiedzenia. Te rzeczy mogą mieć

wartość dla rodziny, ale nie nadają się do druku. Mogą służyć nawet w jakichś archiwach rękopisów, by potem służyły jako przykłady dla historyków obyczajowości danych czasów, umysłowości ludzi którzy mieli ambicje przejść do historii, ale nie mieli po temu żadnych danych.

Takim piśmie popierającym ludzkie słabości — megalomanię, są „Nowiny Literackie”. Na całej przestrzeni numerów dotychczas wydanych. I w tem, w tej „wzajemnej adoracji” ludzi swoica, zdysansowały (in minus) swój prototyp, „Wiadomości”.

Co kogo obchodził n.p., że p. Minkiewicz chodził do tytu i takich gimnazjów, że go odprowadzała służąca, że on jeden wyskakiwał poza przeciętność swoich kolegów. Sam, na każdym kroku, daje do poznania, że wyszedł z „owego mieszczańskiego średniozamożnego środowiska”, a — jednocześnie — dopasowując się do dzisiejszej koniunktury, wyraża się o nim z przekąsem, z krytycyzmem. Co, więcej lubi nawet okazać się snobem, popisując się swoimi koneksjami, kontaktami, z ziemiaństwem, z literaturą. I wtedy zawsze wydaje się, że on, Minkiewicz, był centrum, dookoła którego wszystko się obracało.

A. Bogiem, a prawdą, kto, przed wojną, wiedział wiele o Minkiewiczach? Najwyżej czytelnicy „Wiadomości Literackich” i „Cyrulika”. Nikt więcej. A ci czytelnicy, to nie cała kulturalna Polska. To garstka, ludzi zasugerowani wielkością tych, co drukowali w „Wiadomościach”. Bo to już ich (w wyobrażeniu własnym czytelników) pasowało na — wielkość.

Boguszewska, bądź co bądź, znana jest więcej od Minkiewicza, mimo, że daleko jej jeszcze do pozycji w historii literatury, ale możnaby zgodzić się na wspomnienia o Nałkowskim. Możeby można jednak od niej żądać rzecz lepiej napisaną, a nie silenie się na tę prostotę, która, marnym, w czytaniu staje się męczącą, nudną.

Zarządzenia rady ministrów ograniczenia papieru dla dzienników i periodyków będzie słuszne i celowe, jeżeli dotkna one, w pierwszym rzędzie, obok rozmaitych „co tydzień powieści”, „Szpilki”, „Kocynder”,

„Różgi” itp. też te pisma, które służą megalomanii, reklamiarstwu, wzajemnej adoracji i wydymanie przeciętności do wielkości.

—oOo—

Jeszcze jedna sprawa. W wspomnianym numerze „Nowin” niejaki p. „if” w „przeglądzie czasopism” powraca do sprawy Baczyńskiego. Nie chodzi mi tu o Baczyńskiego, ani o obronę twierdzenia „Tygodnika Powszechnego”, że Baczyński powinien być uznany za pisarza katolickiego.

P. „if” wspomina Claudel’a. Powiada, że on łatwo potrafi dawać stempel „pisarza katolickiego” n.p. Rimbaud’owi. Nie wie jednak, czy zapomnia, jak wysoko pojmuje, właśnie, Claudel miano „pisarza katolickiego”. W zbiorze szkiców, wydanych pod tytułem: „Positions et prépositions”, w szkicu o Dantem, ujmuje wielkość i odpowiedzialność pisarza, który chce być, albo jest uznany, za „pisarza katolickiego”. P. „if” właśnie nie rozumie, co to jest pisarz katolicki. Ogarnia to pojęcie zbyt ciasno, simplicystycznie. Jeżeli „nie umieszczają na każdej stronie swych dzieł wyznania w rodzaju... i minaj Nero” — niegodzien jest tego miana. Czy Mauriac jest, według p. „if”, pisarzem katolickim, czy nie? U niego nie znajdziemy wszakże wyznań w stylu kronikarza z „Nowin”, uznawanych jako jedyną legitymację do „katolickości”. I u nas, przed wojną, w Zjednoczeniu Pisarzy Katolickich, znajdziemy pisarzy, o których p. „if”, powie, że byli „pisarzami katolickimi”, a nie „pisarzami katolickimi”. Zgodzi się może na Zofię Kossak, Marię Rodziewiczównę, Józefa Tyszkiewicza, Miłaszewskich, Stojczyńską ale za kwestionuje u Józefa Weyssenhoffa (za jego „Soból i Pannę”), Eysmonda (bo pamięta tylko, że napisał „Ars amandi”). Nie, taka klasyfikacja jest mylna. Znałem pisarzy wierzących katolików, którym tytuł „pisarza katolickiego” nie przysługiwał; choć jeden przykład — Nowaczyński; znam również dobrych katolików, ale dalekich od zelantyzmu, będących raczej więcej szermierzami „wojującego” Kościoła, którym musi się dać tytuł: „pisarz katolicki”. Zno-

wu jeden tylko przykład. Kazimierz Marian Morawski.

Chodzi o treść, o istotę, nie formę i powierzchowność.

A. R-O.

Szanowny Panie Redaktorze!

Prosimy uprzejmie o zamieszczenie załączonego komunikatu na łamach pisma. Ze względu na ważność sprawy prosimy, o ile możliwe, o wydrukowanie tej notatki na widocznym miejscu, najchętniej w dziale literackim.

Dziękując z góry

kreślimy się z poważaniem

(—) Leon Pasternak

(—) Jan Śpiewak

Łódź, dnia 10 czerwca 1947 r.

W związku z przygotowywaną przez nas antologią p. t. „30 lat satyry polskiej” (1918 — 1948 r.), która ukaże się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Książka”, wracamy się do autorów, bibliofilów, i do tych wszystkich, którzy posiadają wyczerpujące już książki, druki, teksty szronek politycznych, kompletne roczniki pism satyrycznych jak „Pszczółka”, „Szczutek”, „Cyrulik Warszawski” i inne, ewentualnie pojedyncze egzemplarze tych pism, wydawnictwa futurystyczne, utwory satyryczne ludowe, utwory pisane w czasie okupacji, jednodniówki i dodatki satyryczne do pism codziennych — o przysłanie tych materiałów pod adresem: Leon Pasternak, Łódź, ul. Bandurskiego 8.

Pisma te, w razie wyrażenia zgody przez właścicieli, chętnie zakupimy. W przeciwnym wypadku prosimy uprzejmie o wypożyczenie gwarantując zwrot tekstów w ciągu miesiąca od daty otrzymania. W razie niemożności przekazania nam materiałów prosimy o podanie spisu posiadanych druków i sposobu, w jaki moglibyśmy z nich skorzystać.

(—) Leon Pasternak

(—) Jan Śpiewak

## Z KSIĄŻEK

Wydawnictwo „AWIR”, Katowice.

Juliusz German — Dziwożona, powieść o Zygmuncie Augustcie i Barbatcie Radziwiłłównie, str. 303, 1947 r., cena 400.— zł.

W. T. Christine — Kaliber 6.35, str. 329, r. 1947.

Alfred Bronowski — Nie czekaj na mnie, powieść współczesna, str. 218, r. 1947.

Artur Marya Swinarski — Odwiedziny smoka, ilustracje Józef Mroszczak.

Wydawnictwo Drukarni Djecezejalnej, Opole.

Roman Horoszkiewicz — Z przeszłości Opola, Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Opolu, r. 1947, str. 40.

O. I. Woroniecki O. P. — Błogosławiony Czesław Dominikanin, 1175 (?) — 1242, r. 1947, str. 57.

Wydawnictwo Instytutu Zachodniego, Poznań.

Alfred Kucner — Ekspansja Brandenburgii nad Bałtykiem, w wieku XV — XVIII, str. 101, r. 1947.

Bogdan Suchodolski — Dusza niemiecka w świetle filozofii, str. 76, r. 1947.

Tadeusz Kłosiński — Polityka przemysłowa okupanta w Generalnym Gubernatorstwie, str. 181, r. 1947.

Władysław Konopczyński — Fryderyk Wielki a Polska, prace Instytutu Zachodniego, Nr. 9, str. 288, r. 1947.

ORGANISTA - CHORMISTRZ

potrzebny od 1 lipca do parafii Gostynin, woj. Warsz.

Warunki dobre.

## KURSY KATECHETYCZNE

Podczas letnich wakacji zostaną zorganizowane dwa międzydiecezjalne kursy katechetyczne dla czynnych XX Katechetów, PP. Katechetek i PP. Nauczycieli religii w szkołach powszechnych. Celem ułatwienia dojazdu obrano na miejsce kursów miasta położone na odmiennych krańcach Polski: Wrocław i Lublin. Oprócz tego przewidziany jest w Krakowie we wrześniu kurs, który zostanie osobno ogłoszony.

Pierwszy kurs odbędzie się we Wrocławiu w dn. od 29 czerwca do 6 lipca, drugi — w Lublinie w dn. od 6 lipca do 13 lipca.

Program obydwu kursów jest ten sam.

Zgodnie z życzeniami tak Uczestników zeszłorocznych kursów wakacyjnych jak i Przedstawicieli Diecezjalnych Kół Księży, Prefektów oraz Diecezjalnych Księży Wizytatorów Szkolnych, na kursach w tym roku będzie położony szczególnie nacisk na podstawowe zagadnienia metodyki religii. Na pierwsze dwa dni przypadłyby tematy ogólne, a na cztery ostatnie — szczegółowe.

Kurs katechetyczny jest bodaj jedyną okazją do wyjaśnienia aktualnych problemów, związanych z praktyką katechetyczną, przeto program kursu przewiduje kilka tematów dyskusyjnych.

Program przewiduje czas na samodzielną pracę uczestników kursu, aby umożliwić lepsze przygotowanie się do ćwiczeń katechetycznych. W tym czasie uczestnicy kursu będą mogli zapoznać się ze szkicami katechetycznymi, podręcznikami i innymi pomocami naukowymi.

Na tematy szczegółowe — poza ogólnym wprowadzeniem — będą przerobione ćwiczenia katechetyczne, pojęte jako szczegółowe omówienie typowych lekcji w każdej klasie.

Praca na kursie jest pojęta nie tylko jako przeszkolenie umysłowe, ale jednocześnie jako pełniejsze przygotowanie do dalszej pracy apostołkiej na odcinku katechetycznym, przeto kurs jest ujęty w „ramy” ascetycznych ćwiczeń: rozmyślanie — rano, konferencja religijna i błogosławieństwo Najśw. Sakramentem — wieczorem.

1) Zjazd na kurs we Wrocławiu dn. 28 czerwca. Zgłaszać się pod adresem: Wrocław, ul. Andrzeja Struga 11 (niedaleko dworca kolejowego Wrocław-Odra, gdzie należy wysiąść. Dalej ulicą Trzebnicką do Kłęczkowskiej) pierwsza za mostem kolejowym (13-cia na prawo, naprzeciwko więzienia). Z dworca Głównego — tramwajem Nr 2 lub 10 do przystanku „Dworzec-Odra”.

Zjazd na kurs w Lublinie dn. 5 lipca. Zgłaszać się pod adresem: Lublin, Uniwersytet Katolicki, Sekretariat Kursu Katechetycznego.

2) Opłata za mieszkanie, utrzymanie, udział w kursie wynosi 2.000 zł, płatne z góry po przyjeździe na kurs. Należy wziąć ze sobą bieliznę pościelową i koc.

3) Zgłoszenia na kurs we Wrocławiu kierować do dn. 20 czerwca, na adres: Wrocław, Plac Strzelecki 22, Administracja Apostolska, Referat Szkolny; lub Wrocław, ul. Andrzeja Struga 11.

Zgłoszenia na kurs w Lublinie kierować do dn. 25 czerwca, na adres: Lublin, Uniwersytet Katolicki, Sekretariat Kursu Katechetycznego.

Redagują: Jan Dobraczyński, Bolesław Piasecki.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr. I-727. Adres Oddziału Krakowskiego):

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i sobót, godz. 12.30 — 13.30.

Prenumerata miesięczna 40 złotych. Kwartalna 120 złotych.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne Kurkowa 5, m. 4.

Druk. Skolimowska 5

B—31492